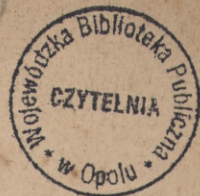


PAŹDZIERNIK Nr 138

*Żurawki
Różalska*

194



NAOKOŁO ŚWIATA

cena 1 zł

**Kolekcja
Emila Kornasia**



ZNACZKI POCZTOWE DO ZBIORÓW posiadamy wielki wybór znaczków starych i nowości po cenach niskich. Specjalny katalog i album do znaczków polskich Dział numizmatyczny. Kupujemy znaczki pocztowe i monety.

DOM FILATELISTYCZNY

A. PACHOŃSKI WARSZAWA, UL. JASNA 18
róg Świętokrzyskiej, naprzeciw P. K. O. Tel. 657-68

Przy wszelkich zapytaniach znaczek na odpowiedź. Cennik bezpłatnie.

Kuracja ziołami

Magistra WOLSKIEGO

Jednoczy w sobie tradycję wieków i zdobycze wiedzy współczesnej

STOSUJE SIĘ:

PRZY CIERPIENIACH WĄTROBY,

woreczka żółciowego, kamicy żółciowej i żółtaczce. Zioła ze znak. „BILLOSA”, które zawierają egzotyczne rośliny Combretum i Boldo.

PRZY OTYŁOŚCI

na tle wadliwej przemiany materii. Zioła ze znak. „DEGROSA”, które zawierają jod organiczny w roślinie Yabanga i nie wymagają specjalnej diety.

PRZY BEZSENNOŚCI,

nerwicy serca i zaburzeniach układu nerwowego. Zioła ze znak. „PASIVEROSA”, które zawierają kwiat Męki Pańskiej (Passiflora inn.).

PRZY KASZLU

zaflegmieniu, ciężkości i duszności w piersiach i wszelkich cierpieniach płuc. Zioła ze znak. „PULMOSA”,

które zawierają Schin-Schen rzadką roślinę chińską.

PRZY OBSTRUKCJI CHRONICZNEJ,

zaburzeniach żołądkowo-kiszkowych i do uregulowania trawienia. Zioła ze znak. „GASTROSA”.

PRZY CIERPIENIACH NEREK, PĘCHERZA,

miedniczek nerkowych i wszelkich dolegliwościach dróg moczowych. Zioła ze znak. „UROSA”, które zawierają roślinę indyjską Ortosiphoria.

PRZY ARTRETYZMIE REUMATYZMIE

i bólach ischiasu Zioła ze znak. „REUMOSA”, które zawierają roślinę Schin-Schen.

Do nabycia w aptekach, składach aptecznych lub w wydawnictwie.

Magister WOLSKI, Warszawa, Złota 14, tel. 263-05

Objaśniające broszury wysyła bezpłatnie wydawnictwo.

CZŁOWIEK INTERESU

POWINIEN CZYTYWAĆ

WYDAWNICTWA GOSPODARCZE, A WSRÓD NICH
PRZEDWSTĘPIENIEM

TYGODNIK HANDLOWY

ORGAN STOWARZYSZENIA KUPCÓW POLSKICH

WYSTARCZY KILKA SŁÓW NA POCZTÓWCĘ, A NUMER
OKAZOWY BĘDZIE NIEZWŁOCZNIE WYSŁANY

WARSZAWA, UL. ZIELNA 50 — TELEFON 545-36





Co mówią o Chaplinie?

Któregoś dnia *Chaplin* był w piekielnym humorze. Zły i przygnębiony walczył się cały dzień, nie chcąc ani jeść, ani pracować.

— Co ci jest? — dopytuje się żona. — Może ci się coś złego przyśniło?

— Tak — mruknął *Charlie*.

— Co mianowicie? — indaguje troskliwa małżonka.

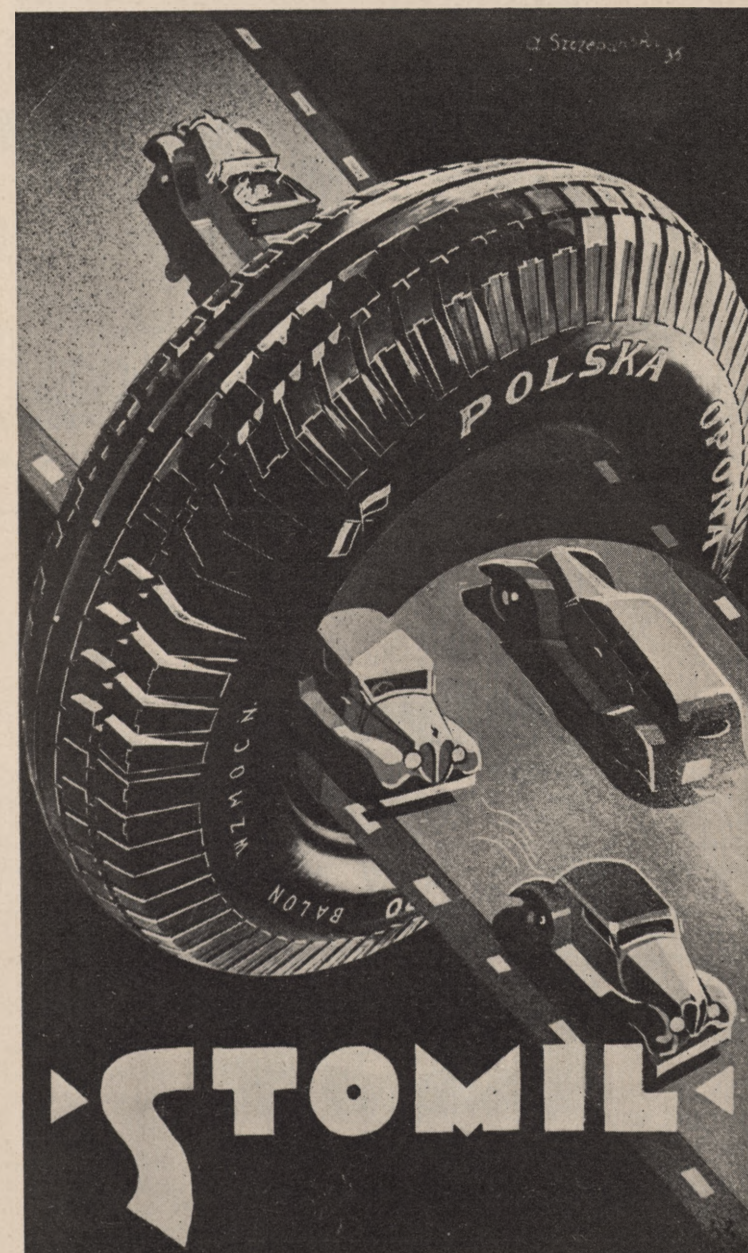
— Co? hm... Śniło mi się, że miałem się drugi raz żenić.

— Z kim? — nastawała żona.

Charlie spojrzał na żonę niechętnym wzrokiem i krzyknął z pasją:

— No oczywiście — z tobą.

C z y j e s t e ś
c z ł o n k i e m L O P P ?



TO PRZESAD,

że można dotrzeć do klienteli prowincjonalnej nie ogłaszając się w dziennikach lokalnych.

PROWINCJA

posiada szereg wydawnictw, które — łącząc wiadomości ogólne z lokalnymi — stają się nieodzowną lekturą dla mieszkańców prowincji.

Takiem wydawnictwem jest

„EXPRESS LUBELSKI i WOŁYŃSKI”

wielki, ilustrowany dziennik, wychodzący w Lublinie od lat 13-tu.

NAJWYŻSZY NAKŁAD na terenie Województw: Lubelskiego i Wołyńskiego.

Bliższe informacje, egzemplarze okazowe, prospekty, kosztorysy ogłoszeń, wykazy i referencje dotychczasowych klientów, odwiedziny akwizytorów — na każde żądanie.

ADRES WYDAWNICTWA: LUBLIN, KOŚCIUSZKI 8, TEL. 23-60.
INFORMACJE W WARSZAWIE PRZEZ TELEFON 9-28-82.



Z DZIEDZINY KOSMETYKI:

I już po lecie... Zaczyna się gwałtowny ruch dośrodkowy. Ze wszystkich zakątków Polski i całej Europy, z nadmorskich plaż i lesistych klimatyk, ze zwykłych wreszcie podmiejskich „letniaków“ ściągają mieszczuchy do swoich centrów. Wracają panie wypoczęte, jednak zazwyczaj z przeraźliwą cerą. Lato jest bowiem najniebezpieczniejszą porą roku dla naskórka.

Zacznie się teraz okres kuracyjny, okres walki z piegami, pryszczami i t. d. Kuracja będzie tem intensywniejsza, że tegoroczna moda każe być cerze zupełnie białą.

Poniżej podamy kilka aktualnych środków, które w sezonie jesiennym powinny stanąć do walki z zeszpeconą w lecie pięknoscią.

Na pierwszy plan wśród nich wybija się wschodni płyn „Mimoza“, który wybiela i udelikatnia skórę, a ponadto zastępuje w zupełności mydło dla pań, którym ono szkodzi. Twarz wytarta wschodnim płynem „Mimoza“ nabiera momentalnie świeżego, zdrowego wyglądu, a przy stałym użyciu staje się biała i gładka.

Jeżeli piegi wystąpiły silnie, a chcemy się ich pozbyć bez dłuższej kuracji, należy natychmiast stosować krem „Precioza“, który w kilka zaledwie dni usunie piegi i żółte plamy ze skóry.

Muszę jeszcze zwrócić uwagę na ręce, które, zniszczone na różnych wycieczkach i przez dłuższe przebywanie na powietrzu, stały się szorstkie i czerwone. Otóż bardzo szybko wybieli i udelikatni ręce „Krem Prałatów“. Jest to niezastąpiony wprost środek dla pań, które same zajmują się gospodarstwem domowym. Stosując bowiem „Krem Prałatów“ zachowają, mimo wszelkich zajęć, ręce białe, gładkie i delikatne.

M-me Ercèdes

TREŚĆ NUMERU

ITALJA W ZNAKU MARSA, Jim Poker	Str.	8
VAL. HOBSON	„	14
CZARNY KOGUT, cz.	„	15
SZTUKA MURZYŃSKA	„	17
STRZEŻ SIĘ PODWODNEGO WROGA, G. Adams	„	18
KABALARKA KRÓLA JEGOMOŚCI, Jerzy W. Helbich	„	24
KRAJ TYSIĄCA MOŻLIWOŚCI, Emil Theobald	„	26
LORETTA YOUNG	„	32
CMENTARZ PSÓW, R. Haillant	„	33
SKARB, Enrico Camerra	„	36
NOWA ZIEMIA OBIECANA, (S)	„	42
RATETA I RAKETAK, Anna Zahorska	„	48
TRUCIZNA, M. E.	„	52
SWOI O SWOICH	„	56
MANEWRY JESIENNE	„	58
O PIĘKNIE I POŻYTKU JAZDY KONNEJ, (B. A.)	„	60
PRZY DRODZE	„	63
OCALAŁE KARTY Z DZIEJÓW ZIEMI, inż. Z. Chełmoński	„	64
Z 1001 ANEGDOT O AKADEMII NIEŚMIERTELNYCH	„	67
NARZECZONA, Aleksey Tołstoj	„	71
CZYNNOŚĆ Z PUNKTU WIDZENIA CELU, W. Firsoff	„	76

Okladkę projektowali: M. Żułowski i Różańska

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Zgoda 12, tel. 522-14

Administracja czynna codziennie od godz. 13 do 15

Redakcja we wtorki i czwartki od godz. 12 do 14

Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką,
4 zł. 50 gr, zagranicą 6 zł. 50 gr.

Zeszyt pojedynczy 1 zł.

Rękopisów i fotografii niezamówionych redakcja nie zwraca

NAOKOŁO ŚWIATA

Nr. 138

**Kolekcja
Emila Kornasia**

PAŹDZIERNIK 1935



Fot. Dr. P. Wolff

J e s i e ń

ITALIA



w Znak u marsa

Nie uważam się za złego patryotę, ale kiedy w Palermo opuściłem oświetlony „al-giorno“ luksusowy kadłub „Piłsudskiego“ i przesiadłem się na skromną bardzo „Citta di Tunisi“ — odetchnąłem z uczuciem ulgi. Nie żeby m/s „Piłsudski“ był niegościnnym okrętem, a kapitan Stankiewicz złym na nim władcą po Bogu. Okręt, powiedzieć można, aż za dobry, a kapitan, majster pierwszej klasy. Ale...

Ale najwięcej podobał mi się „Piłsudski“ pierwszego dnia po przyjeździe do Trjestu, kiedy na nim nie było jeszcze pasażerów. To był naprawdę pięknym i wielkością imponujący, *swój* okręt. Potem, kiedy runął nań tłum pasażerów obojga płci, stał się... obcy, nerwowy, niesympatyczny. I znów nie to, że by między tymi siedmiuset zgórą pasażerami nie było ludzi miłych i kultu-

ralnych... Wręcz przeciwnie, było ich bardzo dużo... Ale jeśli na siedmiuset dwudziestu pasażerów znajdzie się stu panów, uważających, że *nie są w woj-sku*... i dwieście pań uważających, że są na dancingu czy w kabarecie... mamy temat do scenarjusza filmowego p. t. „Hotel Potiemkin czyli ostatnia godzina...“

— Hm — powiedział do mnie jeden z pasażerów — Włoch rodowity i znamienny podróżnik — niech pan mi nie bierze za złe, ale wy tam w Polsce musicie mieć bardzo lichych mężczyzn. Inaczej wasze kobiety nie byłyby tak histeryczne...

*

Znikł na horyzoncie złoty łańcuch świateł, zdobiący poprzez noc namacal-

ną sylwetę Monte Pellegrino. Na „Citta di Tunisi“ uderzono dwukrotnie w gong. I o чудо: pasażerowie stawili się w jadalni, spokojnie i bez pośpiechu. Nikt nie wdzierał się z miną wypuszczonego z klatki, zgłodniałego tygrysa, ale nikt też nie spóźnił się o pół godziny i nie zaczynał od zakąsek, kiedy inni byli przy deserze.

Przy butelce starego wina sycylijskiego gwarzy się chętnie. Toteż pod świeżym wrażeniem siadających na statek w Palermo młodych żołnierzy, zagadnąłem sąsiada Włocha:

— Czy pan nie sądzi, że ten entuzjazm przy pożegnaniu jest mocno urzędowy?

Mój towarzysz uśmiechnął się:

— Przyzwyczajony jest pan do nastrojów nordycznych. Tam entuzjazmu ludzie albo się wstydzą, albo manifestują go na urząd. U nas to rzecz temperamentu. Zresztą niech pan nie przypuszcza, że żołnierze nasi cieszą się spowodu wojny... Nie. Oni rozumieją należycie wielką ideę mocarstwową i potrzebę kolonij, tak jak zrozumieli uprzednio potrzebę silnej armii i marynarki wojennej, bez których Włochy dzisiejsze nie byłyby tem czem są...

*

Nad ranem mój towarzysz podróży — Polak — jeden z tych szlachetnych wyjątków, co nietylko w wojsku rozumieją konieczność dyscypliny, otrzymuje radjodepeszę:

„Czekam na pana w Neapolu, hotel Santa Lucia. Liza“.

— To małżonka mego kolegi — otrzymuję wyjaśnienie.

— Hm — ośmielałem się zauważyć — możebyśmy tak zachowali incognito i zajęli gdzieś indziej. Bo obawiam się, że będziemy mieli moc kłopotu, nie zobaczymy, a w końcu wydamy dużo pieniędzy.

Mój arcymyły towarzysz uśmiecha się tajemniczo:

— To jest Włoszka, proszę pana. A zresztą sam pan zobaczy.

I zobaczyłem. Wożono mnie pięknym



zupełnie, ale dobrą, starą (wcale nie była stara) znajomą. Wkońcu zaś usiłowa-
no namówić koniecznie do przyjęcia, na
pamiątkę spotkania, wspaniałego krawa-
ta „made in Napoli“, przeciwko czemu
już zaprotestowałem gorąco.

— Cóż chcecie moi państwo: *Autres
pays... autres femmes!*

*

Na drodze prowadzącej do małego
Wezuwiusza ruch nadzwyczajny. Samo-
chód za samochodem pomyka szybko,
acz bezszelestnie. Nikt nie używa otwar-
tego tłumika, nikt nie nadużywa syreny
czy trąby. Podobno tutaj najechany
przechodzień odpowiada narówni z kie-
rowcą... Od tego czasu ilość wypadków
znacznie się zmniejszyła!

Spotkaliśmy też sporo motocykli. Śnia-
dy, zgrabny Włoch mocno trzyma widły
kierownika, podczas gdy stylu smukła,
czarnobrewa, zerka ku nam z wdzięcz-
nym uśmiechem. Tutaj przecież ludzie
nie zazdroszczą sobie wzajem, ale jakby
winszują przy spotkaniu wesołej zaba-
wy. Przytem żadna z siedzących na ba-
gażniku motocykla panienek nie świeci
gołymi kolankami, nie pokazuje nam
się stylu *w całej ozdobie*. Dziewczęta
włoskie siedzą estetycznie „po damsku“,
bokiem, z niewysłowionym wdziękiem.
Gdyby westalki żyły w czasach moto-
cykli i rowerów — teżby lepiej nie po-
trafiły. Podobno wożenie kobiet na mo-

samochodem po okolicach Neapolu, po-
kazano wszystko to, co w tak krótkim
czasie można było zobaczyć, nie wyła-
czając akwarjum, w którego mrokach
czaiły się różne potwory morskie. Po-
tem zaproszono na lunch, tak smaczny,
że palce lizać... Przez cały czas bawiono
rozmową naturalną i wesołą, że czuł się
człowiek, jakby spotkał nie osobę obcą



tocyklu „okrakiem“ jest surowo wzbro-
nione.

*

Olbrzymi kadłub „Conte di Savoia“,
wywyższony dwoma białymi kominami,
stoi w porcie. Pięknie wygląda ten zwy-
cięzca „Bremena“ w walce o błękitną
wstęgę Atlantyku. I mimowoli przycho-
dzi na myśl szalony wysiłek Włoch
w dziedzinie budownictwa okrętowego.
Przecież „Rex“ i „Conte“ rozwijają pra-
wie tę samą szybkość co o połowę więk-
sza od nich „Normandie“. Przecież zbu-
dowane w tych samych zakładach co
nasz „Piłsudski“ — „Neptunia“, „Ocea-
nia“, „Saturnia“ i „Vulcania“ należą,
pospołu z naszym, do najlepszych moto-
rowców świata (trzeba przyznać, a przy-
znał to sam dyrektor stoczni, Monfal-
cone, miły pan Cosulich — że „Piłsud-
ski“ jest od nich bardziej komfortowy
i nowoczesny), przecież Włochy mają
rekordy szybkości w klasie krążowni-
ków ciężkich, krążowników lekkich
i kontrtorpedowców, rekord w zanurze-
niu łodzi podwodnych, tak na głębo-
kość (138 m) jak i co do przebywania
pod wodą (dwa dni na dnie morskim).
To daje do myślenia. A wogóle prze-
cież cała ta historia abisyńska nie mo-
głaby mieć miejsca, gdyby Italia nie
czuła się na morzu Śródziemnym *silna
i w domu*, jak to powiedział jeden z jej
admiratów. Nawet dreadnoughty „Kró-
lowej mórz“, spoglądające od strony
Malty na wybrzeża Sycylii, nie czynią
na niej wrażenia. Albowiem stare pra-
wo „linij wewnętrznych“ znajduje tu
pełne zastosowanie.

*

Dywizja „Vturno“ powraca z mane-
wrow. Osiem tysięcy ludzi, wyglądają-
cych dziarsko, defilujących sprężysto,
mimo upału, któryby trzy czwarte na-
szych ziomków przyprawił o niemoc. Co
jednak zwraca uwagę przedewszystkiem,
to wspaniałe wprost wyposażenie tech-
niczne tego wojska. Mam wrażenie, że
takiego wyposażenia we wszelkiego ro-
dzaju „ulepszenia wojenne“ nie mają
nasi zachodni sąsiedzi. Nie zresztą dziw-
nego: genjusz rasy łacińskiej idzie tu

w parze z postępem techniki, a rzutkość
i energia obalają przeszkody biurokra-
cji. Tak dzieje się zresztą w każdej dzie-
dzinie życia na ziemi włoskiej.

Boć gdzie się ruszyć, coś się buduje,
coś się tworzy. W ciągu jednej godziny
powstaje decyzja zelektryfikowania ta-
kiej czy innej linii kolejowej, budowy
autostrady, zburzenia całej dzielnicy ja-
kiegoś miasta i zbudowania wzamian
nowej. Wszędzie praca wre — praca na-
macalna i owocna. Biurka i urzędy gra-
ją rolę pomocniczą, grunt to praca rąk,
mózgów, maszyn. Zasada — „papier
grunt — reszta pretekst do wypełniania
papieru“ — w Italji dawno skazana zo-
stała na banicję. Nie można jej znaleźć
nawet na wyspach Liparyjskich, gdzie
wśród kamieni i lawy — w nowym wy-
daniu piekła dantejskiego — znajdują
się ponoć zwolennicy *innych regime'ów*.

Porównyując dzisiejszą Italję do
przedwojennej, a nawet do wojennej,
dochodzi się do wniosku, że... rację ma
Il Duce.

Przez wielkie dzieło można zmienić
mentalność narodu.

*

Rzym — wieczne miasto — wita nas
powodnią mundurów wojskowych. Ma
się wrażenie, że to jeszcze wojna... A mo-
że już wojna... Wszyscy ci *granatieri*,
zappatori, *alpini*, *bersaglieri* — na-
brali marsowego wyglądu, nie straciw-
szy nic z dawnej lekkości i malowni-
czości. Po ulicach defilują oddziały ka-
rabinierów w trójkątnych kapelu-
szach, kontrastując żywo z odzianymi
w biel i kolonjalne hełmy policjantami,
i z wyposażoną w rzymskie hełmy
dragonią.

Wieczór. Via Nazionale. Na wielkim
placu koncert wprost na ulicy. Przy
akompaniamencie orkiestry kawiarnia-
nej śpiewa jakaś kobieta. Śpiewa ślicz-
nie. Wokół cisza, jak makiem zasiał.
Przechodnie tłumią krok, autobusy
zwalniają biegu, nawet wielkie pullma-
nowskie tramwaje zdają się ukradkiem
przemykać po błyszczących w powodzi
światła szynach... Widać można pogo-

dzić nowoczesność ze sztuką, z pięknem, z muzyką. Przecież na „Citta di Tunisi“ mieliśmy w salonie fortepian, na którym grała ślicznie jakaś pani, nie mieliśmy natomiast muzyki mechanicznej. Na „Piłsudskim“ fortepianu nie było, a panie grały... w bridge'a. Gdyby tak radjo miało w Italji zastąpić muzykę żywą, jak to się w pewnym niemuzykalnym kraju dzieje, wybuchłaby napewno rewolucja, z którą i wszechwładny faszyzm nie dałby sobie rady. A przecież Włochy to ojczyzna Marconiego.

Z Rzymu do Florencji jeden skok. „Rapido“ przebiega 350 km. w cztery i pół godziny, bez zatrzymania. Stamtąd zaś elektryczna „direttissima“ — dopiero co zbudowana, otwarta i już w pełni ruchu — łańcuchem tuneli (najdłuższy ma prawie 19 km.), w tempie 115 km. na godzinę, dostarcza nas do Bologni. Tu czeka niespodzianka.

Albowiem ciągniony przez dwa potężne parowozy, przejeżdża pociąg „Il Duce“, a on sam z okna wagonu rozmawia ze stojącymi na peronie władzami... Żadnego pozatem ceremonjału, kompanij honorowych, orkiestry czy innych uroczystości. Wódz wraca z manewrów, gdzie był żołnierzem. Obecnie jedzie do stolicy, gdzie oblecze się znów w skórę męża stanu.

*

Bardzo dużo pisało się niegdyś u nas o terrorze faszystowskim. Wciąż jeszcze pokutująca psychoza niewoli, każe przeciętnemu polskiemu podróżnemu dopatrywać się wszędzie rosyjskiego żandarma lub austriackiego szpiega. A tymczasem dwaj pełniący służbę w naszym pociągu, uzbrojeni milicjanci faszystowscy, to ludzie na obraz i podobieństwo boskie, nie zaś z „Toski“ czy „Hugonotów“ wyciągnięte zbiry... Jeden z nich śpiewa jakąś arję, oparłszy się o framugę okna, drugi z uśmiechem pomaga pasażerom przejść do wagonu restauracyjnego. Obaj, wysiadając w Mestre, żegnają nas faszystowskim pozdrowieniem.

Nie — stanowczo, faszyzm włoski nie ma nic wspólnego ze sztywnym nacjonalizmem i rasizmem. Jest pogodny i wdzięczny, jak uśmiech kobiety ital-

skiej. Ale też, jak praca tej kobiety — owocny i wytrwały.

*



Znów noc. W Gemonie płoną góry... elektrycznym światłem. Na czarnym tle nieba rysuje się napis „Dux“. Z hukiem pękają kolorowe rakiety i ognistym deszczem spadają na pnący się mozolnie ku granicy pociąg. Italja śle nam ostatnie pożegnanie, jakby powiedzieć chciała:

Bądźcie zdrowi i nie martwcie się o mnie. Dam sobie rady... *Carthagina delendam esse...*

Kartagina graniczy dziś z Erytreją i włoskiem Somali...

*

...Zebrzydowice, Katowice, Warszawa. Witają nas ziomkowie pełni ser-

decznej troski. Witają niemal, jak wita się cudem ocalałych rozbitków:

— Podobno na „Piłsudskim“ morzo-
no was głodem...

— Podobno wpadliście na rafy w cieśninie Messyńskiej...

— Podobno mieliście epidemję na pokładzie...

— Podobno we Włoszech cudzoziemcy są specjalnie śledzeni i aresztowani za lada powodem...

— Podobno głód tam i niedostatek...

— Podobno do Santa Maria del Salute nie wpuszczają w sukni bez rękawów — zakończyła chór ogólnego współczucia jedna z uroczych pań.

Tak! To jedno i tylko to jedno jest prawda: Do Santa Maria del Salute nie wpuszczają w sukni bez rękawów. I do innych kościołów, gmachów publicznych i rządowych także nie. Śmiem twierdzić, że Włoszki się z tego tytułu nie skarżą. I że nawet bez zakazu, w sukni bez rękawów do kościoła wejśćby nie próbowały. Ani przyjść na nabożeństwo w pyjanie, jak to się kilku paniom na pokładzie „Piłsudskiego“ zdarzyło...

Ale wbrew temu, co myśla-
o tem nasze pa-
nie — kwestja
ta nie ma zgub-
nego wpływu na
politykę mocar-
stwową Italji.

Jim Poker





CZARNY



*Patrim, Patrim — kogut gra,
kak pripatrim — aż tu dwa!
kak pristrelim — tak do pnia...*

(Białoruskie przysłowie)

Sławek zapewniał mnie:

— Dzisiaj napewno zobaczysz go, a o ile nie zobaczysz, to przynajmniej usłyszysz. Ciecieruki siedzą jeszcze twardo, ciekną tylko stare. Jeżeli jesteś na czystej łączce, a przed tobą jest krzak, to wiedz, że stary kogut wyjedzie napewno z drugiej strony krzaka. Gdy usłyszysz łopot skrzydeł musisz skoczyć w bok, upaść, stanąć na głowie, jednym słowem zrobić wszystko, żeby ptaka zobaczyć i strzelić. Strzelać musisz bardzo szybko, najczęściej do cienia migającego między liśćmi.

Pokiwałem smutno głową nad temi widmowemi przymiotami tajemniczego ptaka. W łapciach chlupała i bulgotała niedwuznacznie woda, a krzaki były puste, ożywiane tylko łaciatą sylwetką miotającego się szaleńczo Rekxa.

I wtem, w jaśniejszej luce porwało mi się coś spod nóg, przyziemnym lotem zdążając ku krzakom naprzeciwko. Odruchowo strzeliłem, zapytując się w duchu — do czego. „Coś” spadło, przybite śrutem do ziemi. Ale co? Przez sekundę ośladnęło mną przykre przypuszczenie. — A nuż niedozwolony młody głuszek? — Ale szczęśliwie był to tylko chróściel...

Właśnie zmieniałem ładunek w lufie, kiedy załopotwały jakieś potężne skrzydła w gąszczu przedemną. Widziałem jak Sławek zrobił dwa potężne susy w bok i strzelił. Między krzakami, tuż za nim wyjechał czarny, lśniący kogut. Drugi strzał padł w momencie, gdy już niknął. Posypało się pierze i cietrzew osunął się za jałowiec. Po chwili Sławek troczył do pasa pięknego, tłustego ptaka.

Miałem jeszcze potem trochę emocji, kiedy Reks poprowadził dwieście metrów jak po sznurku i stanął nad kępą łoży. Podchodzimy naprężeni do strzału, jak ogon Rekxa — urągliwe „czeee-rek” i z kępki trawy wężowym skrętem wymknął się kszyk. Zbiłem go ze złością w pierwszym koziołku, bo oczywiście Sławek zostawił mi przez grzeczność pierwszy strzał.

Nie skłamał, cietrzewia rzeczywiście widziałem...

*

Piekło — psy były zniechęcone — my też, wogóle podły rok na ciecieruki, jajka zamokły na łąkach i część lęgu zmarnowała się.

Na stereotypowe pytanie: — Ciecieruki u was coś? — Stary, rozczochrany pastuch odpowiedział kręcąc głową:

— Nadto mało, paniezu, nadto mało...

Pomimo to, los okazał się łaskawy. Daleko z nad cieremszyny wypłynęły dwa stare koguty i zrobiwszy wielki łuk, zaczęły obniżać lot. Jeden znikł między krzakami, ale drugi mignął się jeszcze parę razy i siadł na sosence. Widziałem gdzie i skoczyłem w tamtą stronę, żegnany sceptycznymi słowami.

— Nie dosiedzi, niewarto chodzić...

Część zarośniętą przebiegłem szybko, dopóki nie otwarła się przedemną czysta łąka. Kogut siedział na samotnej sosence o jakieś dwieście metrów. Na łączce oprócz sosny rosła jeszcze niska, karłowata brzoza. Zrobiłem łuk po obwodzie czystego terenu, i znalazłszy się za brzošką, zacząłem podchodzić. Na sto pięćdziesiąt metrów, przez nędzną zasłonę rzadkich liści zobaczyłem, że kogut niepokoi się, wyciągając szyję i kręcąc głową. Jeszcze parę, i jeszcze kilka kroków... i teraz trzeba już strzelać. Nachyliłem się, bo gałęzie brzozy zasłaniają pole widzenia. Na muszce czarny ptak, lewy czok, loftki — plaś...

Loftki poruszyły gałązkami sosny — kogut sfrunął — waham się czy strzelić z prawej lufy dwoma zerami, ale za daleko. Cietrzew robi wiraż w prawo i zaczyna się piąć do góry. Idzie prosto na słońce, malejąc i niknąc w jego blasku, aż... załamał się, stulił skrzydła i runął ściętą parabolą na daleki ugor.

Strzał na sto dwadzieścia metrów — jedna siedmiomilimetrowa loftka w pierś.

*

Cichy, słoneczny dzień babiego lata — Mira co chwila przybiega do Sławka z pyskiem oblepionym pajęczyną, prosząc o oczyszczenie.

Mech Nowosielski pusty, obeszliśmy dookoła nie wystraszywszy nawet jednego bekasa. Powoli drapię się na Wańkową Górę i słyszę dziwny dźwięk.

— Czauuszszzsi.

— Podchodzę do krzaków, z których co pewien czas dobywa się ten tajemniczy odgłos. — Czyżby kogut tokował we wrześnie, w samo południe? — Będąc w odległości dwudziestu kroków od gąszczy, słyszę łopot skrzydeł — porywają się z przeciwnej strony i lecą na Sławka.

— Pilnuuuuj!... — wołam.

Wystraszony moim krzykiem porywa się jeszcze parę ptaków. Słyszę cichnący chichot ich lotek. — Sławek nie strzelał? — Dziwne, bardzo dziwne... Spotykam się z nim po drugiej stronie krzaków.

— Czemu nie strzelałeś?

Sławek jest zniechęcony.

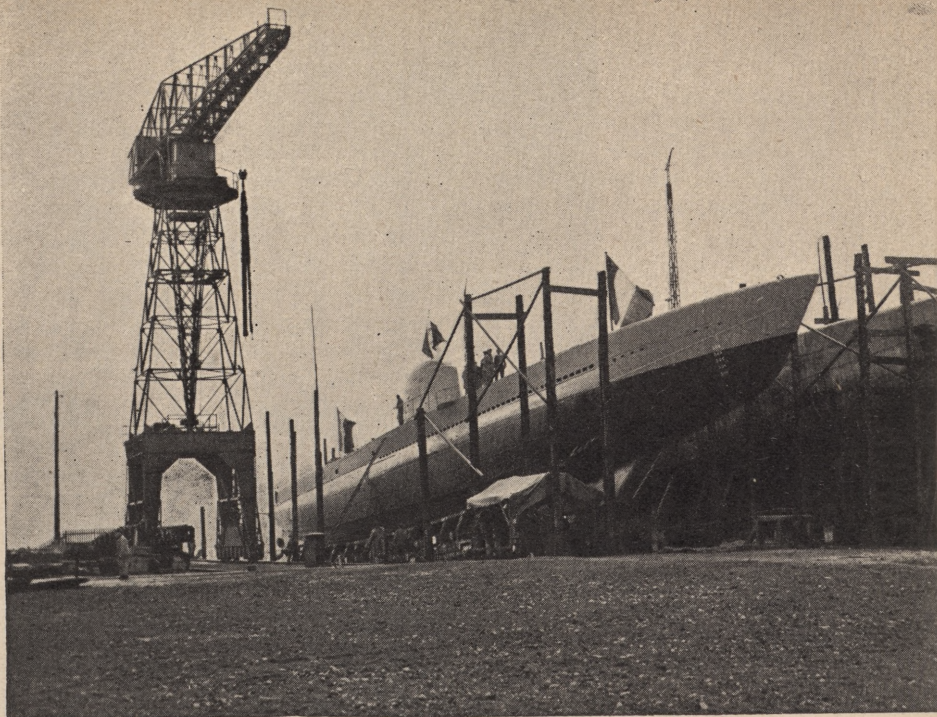
— Widziałem tylko cztery kury...

Prawda, szesnasty wrzesień — kury są już *tabu*!



Sztuka murzyńska
na wystawie
w teatrze Pigalle
w Paryżu





Rys. 1

Budowa łodzi podwodnej

Strzeż się podwodnego wroga

Uważny czytelnik układu morskiego zawartego niedawno między Anglią a Niemcami musiał dostrzec przede wszystkim paragraf dotyczący budowy łodzi podwodnych. Niemcy, którym traktat wersalski odebrał całkowicie prawo posiadania i rozbudowy floty podwodnej, mają prawo na mocy nowego układu wybudować 25 t. zw. U-Boot'ów o różnym tonnażu; od średnich, znanych

jeszcze z czasu wojny europejskiej, do 1000—2000-tonnowych olbrzymów.

Na drugi plan usunięte zostały sprawy floty nadwodnej. Łódź podwodna przez potężną wymowę ostatniego układu flotowego wysuwa się na plan pierwszy, jako pierwszorzędnej doniosłości oręż walki morskiej. Niedawne tradycje wojenne i niedługa historia istnienia łodzi podwodnych na świecie są tym materia-

łem, na którym oprzeć należy się w najdalej idących przewidywaniach i ocenach.

Rodowód łodzi podwodnej

Pierwsze dzieło teoretyczne o łodzi podwodnej i pierwsza próba praktycznej realizacji tej idei należały do Anglika, Bourne'a. Jego łódź, zbudowana z drzewa nie zdała jednak egzaminu życia. Działo się to w r. 1580.

Po wielu latach ciszy na tem polu wynalazł Amerykanin, Buchnel, w roku 1773 łódź podwodną o napędzie ręcznym (patrz rys. 4). Była to pierwsza w historii świata podwodna łódź bojowa, która wślawiła się atakiem na fregatę angielską na wodach portu Nowego Jorku. Zadaniem łodzi było przyśrubowanie do okrętu wroga miny podwodnej. Jakkolwiek zamiar ten nie udał się, jednak sam fakt poruszania się łodzi pod wodą wywołał zdumienie świata i zwrócił uwagę techników i wynalazców.

Zachęcony sukcesem Buchnela zabrał się do pracy nad łodzią podwodną słynny wynalazca statka parowego, Fulton. Jego łódź „Nautilus” (rys. 5) była ogromnym postępem w tej dziedzinie. Obliczona była na załogę z 4-ch osób. Posiadała stery: pionowy i poziomy. Przekrój łodzi miał kształt elipsy, długości 6 metrów a szerokości 2 metrów. Silnik podwodny poruszany był ręcznie. Do jazdy nadwodnej służył specjalny żagiel. „Nautilus” przebywał pod wodą do pięciu godzin.

Przewrót w budownictwie okrętów, zmiana materiału — drzewa na żelazo, był niemniej ważnym bodźcem dla rozwoju idei łodzi podwodnej.

W połowie ubiegłego stulecia Bawar, Otto Bauer, zbudował kilka łodzi podwodnych, z których słynny „Djabeł morski” był rewelacją swego czasu. Łódź ta, zbudowana z żelaza, miała 16 metrów długości, a szerokość i wysokość około 3 i pół metra. Obliczona była na zanurzenie do 45 metrów. Bauer pierwszy wprowadził system cystern, służących do pogrążania łódki w wodzie i regulowania stopnia zanurzenia.

Szereg wynalazców francuskich, jak Bourgeois i Brun, twórcy wielkiej łodzi podwodnej „Plonger” (460 tonn), poruszanej sprężonym powietrzem, wynalazcy amerykańscy jak Ownley, którego łódź podwodna „Dawid” zatopiła podczas wojny stanów północnych z południowcami krążownik „Houstonie”, wreszcie wprowadzenie do łodzi podwodnej motorów elektrycznych, dało sprawie łodzi podwodnej tyle tendencji rozwojowych, że koło roku 1900 można było mówić o łodzi podwodnej jako o sformowanej już, groźnej broni wojennej.

Lecz dopiero wybuch wojny europejskiej stał się egzaminem tej broni, egzaminem straszliwym w swej wymowie.

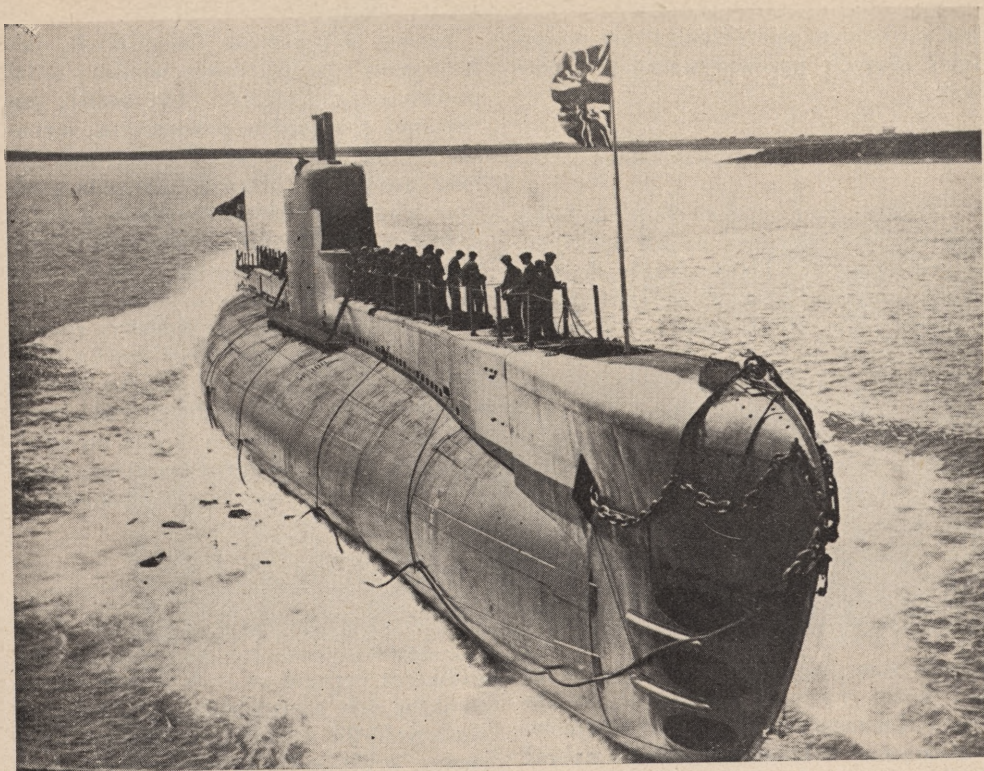
Wnętrze łodzi

Oto przeciętna łódź podwodna (rys. 2). Zajrzymy do jej wnętrza. W tem wielkiem cygarze ze stali umieścił konstruktor cały szereg urządzeń i maszyn, służących do zanurzania łodzi, do jej ruchu, wreszcie do czynności bojowych. Łódź jest podzielona na szereg przegród zamykanych hermetycznie drzwiami (a). Cyfry 1 i 2 to stanowiska centralne kierownictwa łodzi, 4 — motory diesselowskie, 5 — stacja elektromotorów, 6 — stanowisko aparatów torpedowych, 7 — reszta baterii elektrycznych, 9 — pomieszczenie załogi.

Literami oznaczone są: f — peryskop, służący do obserwacji powierzchni mórz w trakcie zanurzenia łodzi, g — korpus łodzi, c — to armaty, służące do walki nadwodnej, b — cysterny.

Ten uproszczony schemat daje oczywiście w małym tylko stopniu pojęcie o skomplikowanej aparaturze współczesnej łodzi podwodnej, która jest dosłownie arcydziełem techniki i wynalazczości człowieka.

Zarówno konstrukcja obliczona na wytrzymanie wielkiego ciśnienia wody w głębiach mórz jak i siła specjalnych motorów, dochodząca do 3500 HP i dająca łodzi podwodnej szybkość ponad 20 mil na godzinę, mają na celu uczynienie z łodzi podwodnej niezależnej jednostki bojowej o wielkim promieniu



Wodowanie nowozbudowanej łodzi angielskiej „Rainbow”

działania. Jednakowoż przy możliwości przepłynięcia nad powierzchnią do 8000 mil morskich, jest odległość pływania podwodnego bardzo ograniczona: wynosi zaledwie około 100 mil.

Współczesna łódź podwodna może dzięki zapasom energii mechanicznej znajdować się na morzu około miesiąca. Okres przebywania pod wodą zależy od urządzeń służących do oczyszczenia powietrza wewnątrz łodzi. Nowowynalezione aparaty dla regeneracji powietrza pozwalają na trzydniowe przebywanie pod wodą.

Technika łączności postawiona została na właściwym poziomie z chwilą wynalezienia radja, które oddaje łodziom podwodnym ogromne usługi.

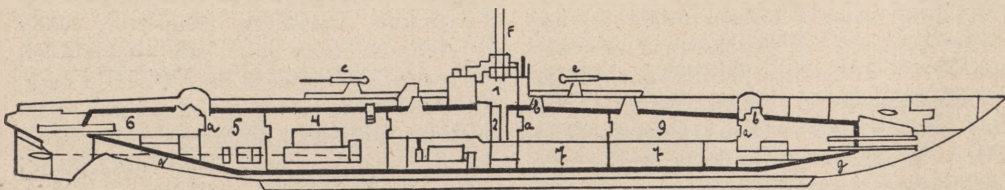
Uzbrojenie łodzi podwodnej to miny, torpedy i artylerja.

Oto podwodny wróg, którego należy się strzec, bowiem...

Łodzie podwodne podczas wielkiej wojny

Podczas wojny europejskiej łódź podwodna zajęła ważne miejsce. Dawne

Wnętrze łodzi (Rys. 2)



Aparat służący do ratowania zatopionych łodzi podwodnych

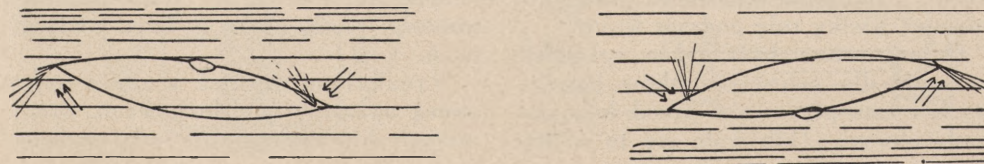
teorie o wielkich bitwach morskich całych flot zostały usunięte na plan dal-
szy. I kiedy Anglicy rozpoczęli stosowanie blokady dla wygłodzenia Niemiec, odbyło kierownictwo floty niemieckiej szereg narad, które zakończyły się decyzją rozpoczęcia bezpardonowej walki przy pomocy łodzi podwodnych.

Obliczono, że o ile niemieckim łodziom podwodnym uda się w ciągu miesiąca zatopić szereg statków handlowych o ogólnym tonnażu, przekraczającym 500.000 tonn, to Anglja w ciągu 6-u miesięcy będzie zmuszona prosić o pokój. Bowiem piętą achillesową gospodarki

angielskiej jest jej zależność w 70% od importu żywności i surowca. Wojna morska stała się więc wojną łodzi podwodnych ze statkami handlowymi, pasażerskimi i transportowcami.

Niemcy jednak nie byli przygotowani na ten rodzaj wojny. Dopiero w ostatnich latach wojny rozporządzali dostateczną ilością łodzi. Prócz tego nie wzięli pod uwagę interesów krajów neutralnych, które poniosły szereg strat wskutek akcji podmorskiej stanęły po stronie Ententy. Za przykład służyć może stanowisko Stanów Zjednoczonych A. P. przed i po zatopieniu „Lusitanji”.

Kierunek zanurzenia i podnoszenia się łodzi (Rys. 3)



Pierwszy etap wojny podwodnej od r. 1915 do 1917 był stosunkowo łagodny. Niemcy liczyli się podówczas jeszcze z interesami krajów neutralnych. Dopiero w lutym 1917 r. Niemcy zapowiedziały atakowanie wszelkich statków, które znajdują się w obrębie zakazanych zon dokoła Francji, Anglii i na morzu Śródziemnym (patrz rys. 1).

W 1915 r. rozporządzała flota niemiecka zaledwie 25 łodziami podwodnymi, w r. 1917 znajdowało się na morzach około 150 takich łodzi, a prawie 100 było w budowie. Potencjał techniczno-wojenny Niemiec wykazał wtedy maksimum natężenia i sprawności.

Wyniki walki podwodnej ujęte zostały przez statystykę w następujące cyfry. Od r. 1914 do 1918 zginęło od łodzi podwodnych około 6.000 statków o łącznym tonnażu około 14.000.000 tonn.

Przez cały okres wojny rozporządzali Niemcy około 350 łodziami. Zginęło z nich prawie 200.

Jak walczone z podwodnym wrogiem

Reakcja na metody walki podwodnej nie dała długo czekać na siebie. Specje floty wojennej Ententy obmyślił szereg sposobów przeciwdziałania, które można podzielić na dwie grupy: bierne i czynne.

Do biernych należało przede wszystkim maskowanie się statków handlowych szeregiem sposobów, jak: nocne podróże, wprowadzające w błąd manewrowanie, specjalny system malowania statków, dekoracje, zasłony dymowe i t. p. Niemniej rolę odgrywało puszczanie w ruch fałszywych informacji, dezorientowanie dowództwa niemieckiego i szpiegów.

Barwy ochronne, utrudniające obserwację, pomysły Anglika, Wilkinsona, oraz urządzenia dekoracyjne, wprowadzające przeciwnika w błąd co do typu, klasy i narodowości statku, odegrały również wielką rolę podczas wojny.

Organizowane były także specjalne konwoje dla ochrony statków handlowych i transportowców przed łodziami podwodnymi. Odbywało się to w ten

sposób, że w jednym punkcie zbierały się statki w liczbie 20—30 i pod ochroną okrętów wojennych zbliżały się do brzegów Anglii gdzie dzieliły się na kilka grup, utrudniając łodziom podwodnym orientację. Nad takim konwojem sprawował dowództwo specjalny sztab, znajdujący się na jednym z odpowiednio zamaskowanych statków. Latem roku 1917 przeprowadzono w ten sposób około 10.000 statków, przy czym straty były minimalne, wynosiły bowiem zaledwie 14 jednostek morskich. Przeważnie były to okręty, które oddzieliły się od konwoju.

Ale nietylko bierna obrona osłabiła działalność łodzi podwodnych. Przechodzono często również do ataku. Niejednokrotnie łódź podwodna, która nieostrożnie wypłynęła na wodę dla zaatakowania bezbronnego statku handlowego, dostawała się pod jego taranowe uderzenie.

Inne metody walki

Wojna sprzyjała rozwojowi pomysłowości ludzkiej w dziedzinie walki z łodziami podwodnymi. Przedewszystkiem szło o to, by uniemożliwić U-Bootom zaatakowanie portów. W tym celu budowano zagrozenia różnego typu. Skuteczne okazały się t. zw. siatki sygnałowe. Łódź podwodna w otarciu się czy zderzeniu z taką siatką zdradzała swoje miejsce, bowiem specjalna boja przymocowana do siatki zaczynała palić się silnym płomieniem, wywołując odpowiednią reakcję ze strony artylerji portowej i statków wojennych.

Od takich sieci zginęło około 10 łodzi niemieckich.

Ogromną rolę odegrały również pola minowe. Największe z nich zagroziło łodziom niemieckim wyjście z morza Północnego. Składała się z 80.000 min rozstawionych między wyspami Orkney a brzegami Norwegii. Ofiarą tej linii minowej padło około 40 łodzi podwodnych.

Wynaleziono również w czasie wojny szereg aparatów podsłuchowych, oznajmiających o zbliżaniu się łodzi podwod-

nej. Takich „hydrofonów“ zbudowali Anglicy przeszło 10.000. Oddały one olbrzymie usługi.

Również nadużywanie przez niemieckie łodzie podwodne porozumienia radiowego dawało technikom angielskim możliwość określania położenia łodzi na morzu przy pomocy specjalnego przyrządu: radio-pelengatora.

W angielskiej literaturze wojennej jest wiele dzieł poświęconych zagadnieniu wojny podwodnej w latach 1914—1919. Znajdujemy w nich ciekawe informacje o parawanie ochronnym, jakim się otaczały okręty wojenne. Parawan ten był czemś w rodzaju wielkiej torpedy zaopatrzonej we własne stery. Mając takie dwa parawany po bokach mógł statek poruszać się bez obawy bezpośredniego ataku łodzi. Najmniejsze zetknięcie się łodzi z parawanem lub liną łączącą go ze statkiem powodował wybuch i klęskę łodzi podwodnej.

Przeszło 50 łodzi zginęło od tego pomysłowego urządzenia.

Okręty-pułapki były również groźnym przeciwnikiem U-Bootów. Ileż to razy stateczek handlowy, mający na pokładzie kobiety i dzieci, bezbronny w oczach łodzi podwodnej, zgadzał się na rewizję, by podpuścić blisko łódź, powitać ją salwą armatnią, albo był przynętą dla łodzi podwodnej, by ją ściągnąć w strefę ataku swojej łodzi podwod-

nej, z którą pozostawał w stałym kontakcie.

Obecny stan rzeczy

Z danych, publikowanych przez Ligę Narodów w specjalnym Roczniku woj-skowym, dowiedzieć się można o stanie siły podwodnej mocarstw w chwili obecnej. Nie są to rzecz prosta ściśle dane, a raczej cyfry orientacyjne.

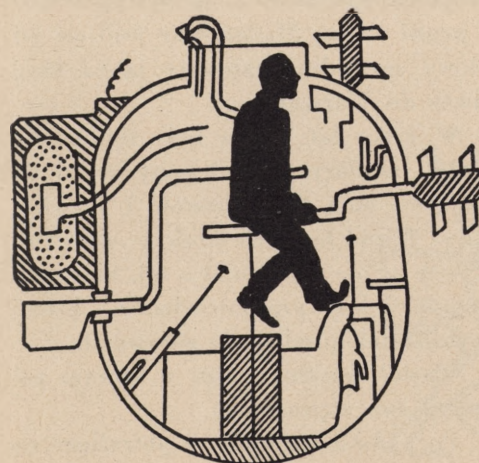
Wynika z nich, że obecnie największą potęgą w dziedzinie broni podwodnej jest Francja ze swemi przeszło 110 łodziami. Następnie idą Stany Zjednoczone A. P. — około 90 łodzi, Japonia — 80, Włochy — 75, Anglia — 65; na dalszych miejscach znajdują się Holandia, Hiszpania, Szwecja.

Nasza flota podmorska składa się narazie z niewielu jednostek, które są jednak ostatnim wyrazem techniki w tej dziedzinie. Wraz z przenikaniem do świadomości społeczeństwa idei silnej Polski na morzu wzrośnie i potęga naszej floty.

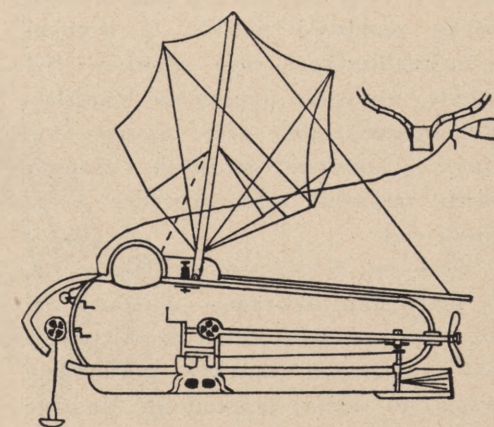
Budowa łodzi podwodnych, jako konstrukcyj morskich wybitnie tanich w porównaniu z wielkimi jednostkami nadwodnymi, a dających jednocześnie duże wartości zarówno dla działań odpornych jak i zaczepnych, winna stać się elementem zasadniczym świadomości narodu.

G. Adams

Łódź Buchneta (Rys. 4)



Nautilus (Rys. 5)



Kabalar Króla Jegomości



Paryż — tętniące zawsze życiem, zadziwiające miasto próżnego bogactwa i trzeźwej nędzy. Paryż wyszukanych uciech, galanterji i dowcipu — miłości i intryg. Miasto stylowych pałaców, cuchnących ulic i walących się ruder. Paryż przyciągający cały świat — gościł w swych murach w osiemnastym wieku poselstwo polskie. A jednym z najruchliwszych jego członków był młody, urodziwy dyplomata Stanisław Poniatowski, który przez osobiste walory i „koneksje“ możnych Czartoryskich zaskarbił sobie wprędce wielu przyjaciół.

Zdało się, że już wszystkie drzwi stały przed nim otworem — a jednak dużo czasu upłynęło, zanim dzięki poparciu znajomych uzyskał upragniony wstęp do salonu tajemniczej Madame

Lhuillier, nadsekwańskiej Pytji, która ujrzawszy miłego kawalera, chętnie położyła mu karty, wróżąc, że — zostanie królem!

Choć wróżba odbiła się echem w jego próżnem sercu i połaskotała miłe dumę, Poniatowski obrócił ją w żart i prosił uroczą Madame, że jeśli się jej słowa sprawdzą, zaprasza ją na swój dwór do Warszawy.

W kilka lat potem były dyplomata polski w Paryżu wyniesiony został na potężny ongi tron Piastów i Jagiellonów. Wśród licznych trosk — ale i rozrywek — nie zapomniał o tej, która mu świetny los przepowiedziała, której wróżba tak prędko się sprawdziła.

Wysłał umyślnym list, w którym ponowił swe zaproszenie.

Po pańsku rozrzutny i potrafiący się

wywdzięczać, przygotował na Krakowskiem Przedmieściu specjalny domek i wyznaczył dożgonną rentę swojej kabalarce.

Ceniąc sobie przyjaźń króla Polaków, osiadła Madame Lhuillier w Warszawie. Ujmująca, sprytna Francuzka, której przepowiednie zrobiły się sławne, gromadziła w swych salonach senatorów i duchownych, dworzan i damy — a co ważniejsze: gromadziła majątek.

Za parę trafnych lub mniej trafnych słów — za uchylenie ciekawej dla każdego zasłony, skrywającej przyszłość — nie żałowano jej złota.

Niektóre damy po parę razy w miesiącu bywały u niej — a zawsze mocno zawoalowane, by ich nie poznano.

Madame Lhuillier dziwnie umiejętnie umiała „żonglować“ ludźmi, bywającymi u niej na kabale, że nigdy jedni drugich w jej gabinecie nie spotykali. Umiała zapewnić prócz tego dyskrecję — mimo, że „czytała“ jasno z kart i znała niejedną tajemnicę.

Król odwiedzał ją często.

Przyjeżdżał o zmroku małą kolaską i starając się zachować *incognito*, spieszył samotny na pierwsze piętro do jej apartamentów. W maleńkim, urzędzo-

nym jak cacko gabineciku zasiadał w wygodnym fotelu i czekał... W drgającym świetle świec błyszczwały czarne, głębokie oczy Lhuillier, a żywe, nerwowe ręce tasowały karty, które potem, umiejętnie wyrzucone, tworzyły wróżbę.

Mawiano, że król przesądny często radził się jej kabały, gdy miał coś ważnego postanowić, a nie był zdecydowanym, że często parę godzin strawił wpatrzony w karty, z których czytała mu przyszłość.

A gdy nieraz ktoś niepowiadomiony chciał przerwać nagle wtargnięciem seans, wówczas Stanisław August narzucał ciemny płaszcz i krył się w korytarzach tajemnych, w które dom kabalarzki był zaopatrzony i wychodził niepoznany innem wyjściem.

Wiemy, że młodemu dyplomacie Madame Lhuillier przepowiedziała koronę, być może, że przepowiedziała tę lub ową miłość, że rozwiązała niejedną polityczną zagadkę — ale czy wier-na paryska przyjaciółka przepowiedziała wyjazd do Petersburga i śmierć na „wypnaniu“, zdala od swego królestwa, czy ostrzegła przed utratą korony? — o tem nie wiemy i — nie dowiemy się nigdy...

Jerzy W. Helbich





śladownictwa i umiejętności przystosowania się do warunków.

Japonję nie z Europą nie łączyło, przeciwnie, wszystko dzieliło i oddalało raczej: religja, etyka i estetyka, ideogramowe pismo, obyczaje, cały ustrój, począwszy od życia wewnętrznego i ubioru, a skończywszy na odżywianiu się... A jednak potrafili Japończycy wzbogacić swój kraj zdobyczami obcej cywilizacji.

Japonja wysyłała w ostatnich dziesięcioleciach do Europy i Ameryki liczne zastępy młodzieży najzdolniejszej, która zjawiała się naraz we wszystkich centrach ekonomicznej i umysłowej pracy europejskich i amerykańskich państw. Młodzież ta studjuje przemysł, handel, sztukę, literaturę, religję niemal wszystkich poszczególnych narodów. Przyswaja sobie językoznawstwo. Studjuje z zapalem, poważnie, uporczywie, umiejętnie, kończąc poszczególne fakultety różnych uniwersytetów europejskich i na-

Neony...

i nowoczesne oświetlenie



Kraj tysiąca możliwości

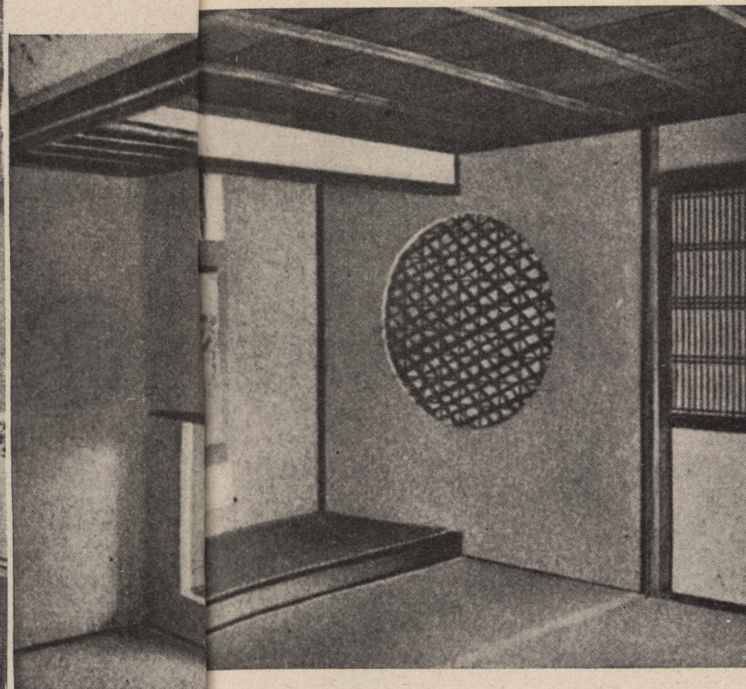
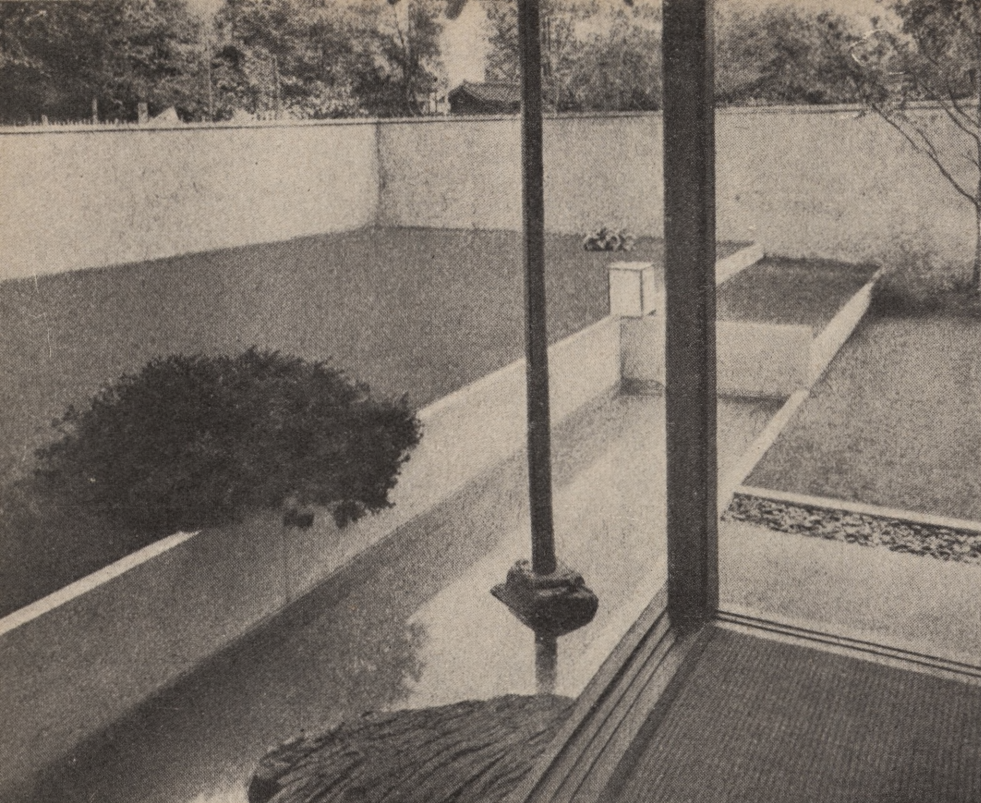
Wypadki, rozgrywające się w ostatnich latach na Dalekim Wschodzie, a wiążące się ściśle z Japonją, zwróciły baczniejszą uwagę świata na Kraję Wschodzącego Słońca.

Gdy przed Japonją otworzyła się droga do nowej, przedtem zupełnie nieznaney cywilizacji Europy i Ameryki, Japończycy potrafili określić swój do niej stosunek, znaleźć dużo nowego materiału, do wyzyskania go u siebie i potrafili w bardzo szybkim czasie znaleźć sposób dotarcia do serca i mózgu tej cywilizacji, aby najcenniejszymi jej skarbami wzbogacić swoją ojczyznę.

Kraj, który jeszcze przed sześćdziesięciu laty nie był Europie znany, potrafił w przeciągu lat kilkudziesięciu zaadoptować najcenniejsze zdobycze zupełnie mu obcej cywilizacji i jak w bajce, mocą różdżki czarodziejskiej, przed zdumionemi oczami Europy i Ameryki wybić się na czoło największych mocarstw świata.

Przypisać to należy w pierwszym rzędzie jedności duchowej, niespożytej cierpliwości i optymizmowi, połączonemu z przyrodzonym zmysłem harmonji w życiu, oszczędności i mrówczej pracy, wreszcie niezwykle zdolnościami na-





Ogród i dom – połączenie stylu japońskiego z nowoczesną

architekturą europejską

stępnie jeszcze przez parę lat pracując nad obroną dziedziną; pisze obszernie foljały sprawozdawcze z tych studjów. Starsi wykonywują trudniejsze zadania, zbierając obserwacje porównawcze w różnych krajach jednocześnie; badają systemy organizacji, studjują ustrój i metody rządzenia narodami.

Po spełnieniu swych zadań wracają do Japonji i ojczyźnie składają owoce swej pracy.

W Japonji z przyniesionych skarbów wybrano umiejętnie wszystko, co mogło być z pożytkiem przeszczepione na swoim gruncie i przedstawiało niewątpliwą wartość. A więc konstytucyjny ustrój państwowy, nowoczesna organizacja wojska, policji, aparatu rządowego. Następnie koleje, elektryczność, telefony, fabryki wszelkiego rodzaju. Tworząc przemysł mały i wielki, modyfikując program oświatowy, prawodawstwo, medycynę, wszystko reorganizując gruntownie.

W poszczególnych dziedzinach wiedzy i organizacji Japończycy zapożyczyli od każdej niemal narodowości wszystko najlepsze, co poszczególne narodowości potrafiła u siebie stworzyć. Mając bogaty, porównawczy materiał, dokonali selekcji równie dobrze pomyślanej jak i dobrze przeprowadzonej.

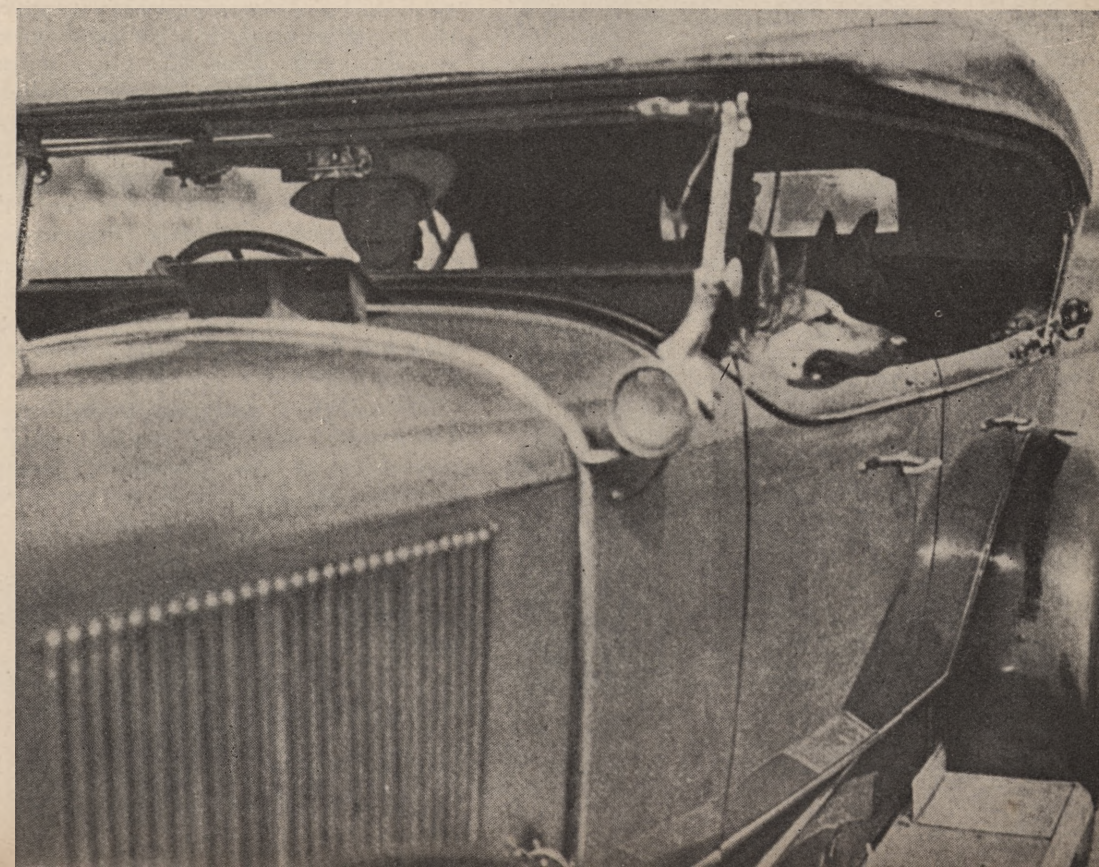
I tak, Japonja wzoruje swoje nowoczesne prawodawstwo na prawodawstwie francuskim. W handlu stosuje metody angielskie, w przemyśle — amerykańskie, w medycynie — niemieckie i t. d. Stąd właśnie pochodzi ta oryginalna cecha społeczeństwa japońskiego, którego jedna sfera, jak np. lekarska, włada językiem niemieckim, nie władając innymi językami europejskimi; sfery prawnicze i wyższa arystokracja łącznie z dworem Mikada — językiem francuskim, sfery handlowe — angielskim, a przemysłowe posługują się gwarą amerykańską.

W rezultacie praca indywidualna

i zbiorowa, oparta na najnowszych wzorach europejskich i amerykańskich, stworzyła na Dalekim Wschodzie najwyższą kulturę nowoczesną.

Rozwój przemysłu japońskiego w ostatnich dziesięcioleciach jest tak olbrzymi, że zaćmiewa wszystkie zdobycze techniczne Europy. Jeszcze przed 50-ciu laty Japonja nie miała ani jednego przedsiębiorstwa przemysłowego, obecnie zaś uprzemysłowione są całe miasta, a państwo Mikada odgrywa poważną rolę w międzynarodowej produkcji i handlu tekstylnym, surowców, gumy i t. d., przyczem ceny towarów japońskich nie tylko wytrzymują konkurencję z innymi państwami, lecz zabijają twórczość wielu zakładów Europy. Nawet Anglicy, którzy uważali za odwieczne prawo swoją przewagę na rynkach światowych, obawiają się konkurencji japońskiej od czasu, gdy europejski, a głównie angielski, przemysł

Japonka szoferuje



tekstylny, doznał porażki w walce z japońskim.

Organizacja przemysłu japońskiego jest bardzo sprawna. Fabryki jej są wyposażone w nowoczesny, udoskonalony sprzęt produkcyjny, a robocizna jest bardzo tania.

Robotnik japoński pracuje dzień-dziesięć godzin, a zarobek jego wynosi od piętnastu do dwudziestu złotych tygodniowo. Różnica między japońskim a europejskim robotni-

Przekupień ryb



kiem polega na tem, że Japończyk na skutek znacznie lepszych warunków klimatycznych nie potrzebuje drogich mieszkań i specjalnie drogiego ubrania. Wyżywienie jest znacznie tańsze, składa się bowiem przeważnie z ryżu i ryb, których w Japonji jest wbród, tak że do użyźniania ziemi używają zepsutych ryb i wytlóków rybnych. Mieszkają zazwyczaj w długich barakach, podzielonych na małe mieszkania, składające się z przedpokoju i jednej izby, kuchni i małej alkowy „toko”; mebli prawie nie używają poza kilkoma drobnymi sprzętami. Samotni zajmują ogólne baraki. Komorne za mieszkanie razem ze światłem elektrycznym i gazem wynosi 12—15 złotych (miesięcznie). Kimono, które służy do pracy, kosztuje 2—3 zł.; szkoła powszechna dla dzieci jest bezpłatna, książki i przybory szkolne dostają za pół darmo. Trudno się zatem dziwić, że ceny towarów japońskich są bezkonkurencyjne, skoro robotnik japoński potrafi opędzić swoje potrzeby przy tak małym zarobku, a nawet robić pewne oszczędności.

Bezkonkurencyjna robocizna stanowi potężną broń ekonomiczną Japonji, łącznie z nowoczesnym materiałem produkcyjnym, jakim ona rozporządza. W ostatnich czasach Japonja podjęła inicjatywę ugodową dla ustalenia przyjaznego współżycia z Chinami. Ma to podwójną wagę. Poza znaczeniem politycznym, dobre stosunki z Chinami odsłaniają Japonji wspaniałe perspektywy gospodarcze. Wysyłając swe dumpingowe misje handlowe na cały świat, nie zapomniła oczywiście Japonja, że tuż obok leży bezkonkurencyjny i olbrzymi rynek chiński.

Równolegle z postępem technicznym dokonywuje się, przy żywym udziale japońskich sił intelektualnych, postęp cywilizacyjny kraju w coraz szybszym tempie.

Dziś już nie Ameryka, lecz Japonja jest krajem — nieograniczonych możliwości.

Emil Theobald



Japońska sprzedawczyni gazet



Loretta Young, bohaterka filmu „Wyprawy Krzyżowe”



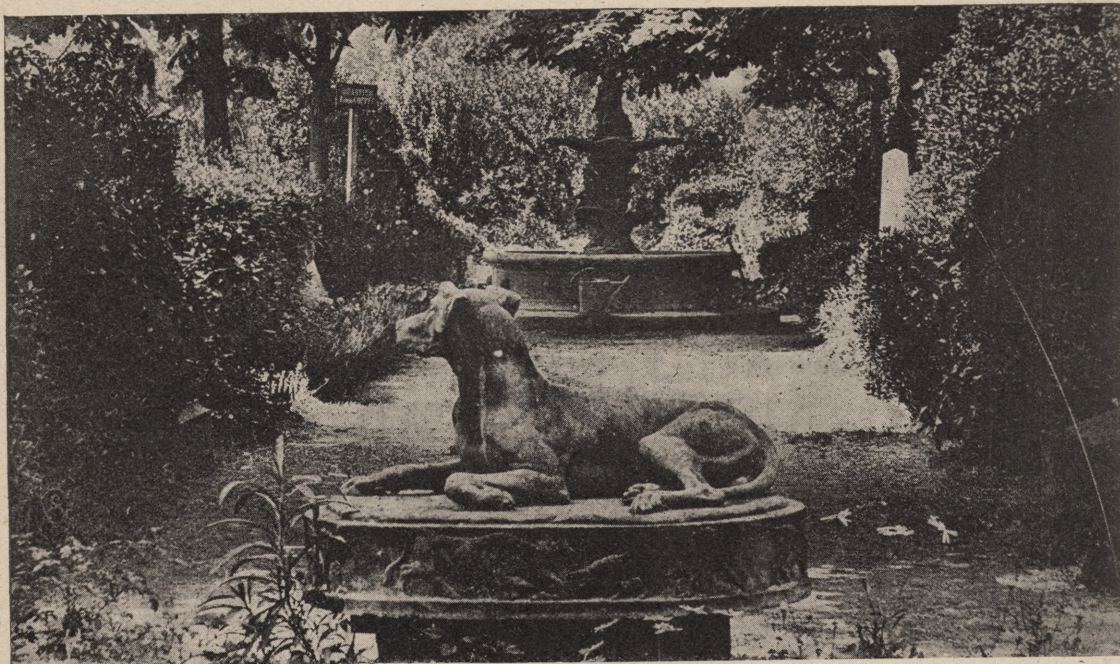
Cmentarz psów

Na północ od Paryża, w malowniczo położonym Asnières — na romantycznej wyspie Ile de la Recette znajduje się miejsce spoczynku dla psów. Położenie psiego cmentarza jest wprost urocze. Sekwana otacza go zielono-szarą wstęgą swych wód, a jej fale kołyszą do wiecznego snu czworonożnych faworytów.

Przez piękną bramę — i po uiszczeniu jednego franka opłaty za wejście — we Francji bowiem niema nic za darmo i złoto płynie nawet z cmentarza dla psów — można się dostać do wnętrza psiego sanktuarjum. Przy wejściu znajduje się tablica z napisem „*Sous peine de contravention il est formellement interdit de monter sur les tombes*”, a zatem niech nikt, nawet drobną stopką nie odważy się wejść na grób Azorka lub innego Filusia, bo go kara nie minie. Psie groby są otoczone wielką czcią.

We Francji naogół nie nazywa się psów „chien”, tylko mówi się o nich czule „Loulou” lub też „Toutou”. Każdy

pies jest pieszczony przez swego właściciela, a częściej przez właścicielkę i poprostu traktowany jak dziecko. Uważa się go za najlepszego przyjaciela i towarzysza, którego się wszędzie zabiera. Prawie do każdej restauracji, lokalu, a nawet do kin wolno wprowadzać psy. Jeżeli jednak znajduje się w jakim miejscu napis „*Les chiens ne sont pas admis*”, to napewno będzie tam tak zwana „consigne”, gdzie można swego faworyta na czas trwającego przedstawienia „oddać na przechowanie”. Rzecz zatem zrozumiała, że gdy taki „Loulou” opuści ten tak bardzo dla niego miły ziemski raj, zostaje pochowany na psim cmentarzu z zachowaniem należytego ceremonjału. Tam kupuje się również trumnę, zwykle bardzo kosztowną, w której składa się drogie szczątki. Sceny, które rozgrywają się podczas „pogrzebów” na psim cmentarzu wywołują ogólną wesołość u zwiedzających *etrangerów*, którzy nie mają zrozumienia dla psiego kultu Francuzów. Jed-



nakże władza cmentarna czuwa i zjawia się w takich wypadkach dozorca z odpowiednim napomnieniem.

Pewnego rodzaju paradoksem jest zakaz wprowadzania na cmentarz psów (żyjących).

Cmentarz dla psów składa się z pięknego parku, z wielką ilością klombów i wodotrysków. Podzielony jest na „quartiere“, z których jeden nazywa się François Coppée na pamiątkę znanego pisarza francuskiego. Park cmentarza tworzy doskonale tło dla psich pomników, których przeważna część jest z marmuru, białego i różowego — istne cuda. Ale coś dopiero powiedzieć o napisach, zdobiących nagrobki — nawet człowiek o kamiennym sercu wrzuci się do głębi, przeczytawszy te słowa:

„Ici repose mon cher Mimi, qui était plus fidèle que mon mari“

(Tu spoczywa mój ukochany Mimi, który był wierniejszy od mego męża).

Któryż niewierny mąż ujrzawszy ten napis nie powróci na drogę cnoty małżeńskiej? Mimi był wierniejszy od nie-

go — to przecież rozczulające i niejedna łza, może krokodylowa, bo komu można wierzyć — spadnie na psi grób. Na innym pomniku znajduje się napis:

„Hommage à ton pauvre petit coeur fidèle et si aimant dont, les battements ont cessé à la douleur de notre separation“.

(Twoje biedne małe serce pełne przywiązania, pękło z bólu w chwili naszego rozstania).

Inny znowu grób zdobi napis z sentencją Pascal'a:

„Plus je vois les hommes, plus j'aime mon chien“.

(Im częściej spotykam się z ludźmi, tem więcej kocham mego psa).

Jedyny grób prawdziwie zasłużonego psa, to pomnik bernardyna „Barry“, który uratował życie czterdziestu osobom.

Najciekawszy ruch panuje na psim cmentarzu w niedzielę i dni świątecz-

ne. W odwiedzających i przynoszących kwiaty tłumach — wobec których wędrówka ludów była dziecinną zabawką — przeważa płeć słaba. Kobiety, we Francji naogół bezdzietne, czas swój poświęcają ukochanym faworytom i ich prochom.

Kult dla psa nie zna granic. Za życia jest pieoszony i kochany przez swego właściciela, a po śmierci czeka na niego romantyczne miejsce spoczynku.

Właścicielem psiego cmentarza jest towarzystwo akcyjne, „Cimetière des Chiens à Asnières — Société anonyme“ wypłacające akcjonariuszom wysoką dywidendę — nic dziwnego, że interes idzie — „miejsca“, które można wdzierżawić na pewien czas, lub kupić na własność są bardzo drogie, a śmiertelność wśród psów jest wielka, jak wskazuje statystyka.

R. Hailliant





Enrico Camerra

Skarb

Spotkanie zostało naznaczone na godzinę dziewiątą w restauracji „Buco“, słynnej na całe wybrzeże Carnaro z korzennych potraw i doskonałego wina z Parenzo, które miało tę właściwość, że nie wyczerpywało się nigdy.

Program na wieczór był następujący: spożyć kolację jak zwykle, w saloniku, zarezerwowanym dla nierozłącznej trójki przyjaciół, omówić wszystkie szczegółły zaprojektowanej akcji, i przed północą wyruszyć w drogę. Ekspedycja miała na celu odnalezienie skarbu.

Uściskawszy dłoń muzyka Symforjana i Tosci, najweselszego chłopca w Abbazii, poeta, przezwany Sokratesem, oświadczył z wrodzoną sobie emfazą:

— Po raz pierwszy mam się zetknąć z rzeczywistością romantyczną. Dotąd dałbym za to głowę, że wyraz

„skarb“ istnieje tylko w książkach dla dzieci, lub też w narzeczu zakochanych. Byłem w błędzie, przyznaję to z pokorą...

Historja skarbu, nie była istotnie żadną bajką.

Na stronie 36 starego notesu, oprawionego w kość słoniową, a będącego własnością zmarłego barona Klugenberg, nakreślone było pismem, drobnym i prawie już nieczytelnym, ale wyraźnie, bez żadnych niedomówień:

„Skarb zakopany został u stóp trzeciego drzewa, po lewej stronie myśliwskiego domku w willi Magdalena“.

Żart, czy obłąd? I jedno i drugie było niemożliwe. Baron uchodził za zrównoważonego i statecznego człowieka. Wystarczyło uważnie przejrzeć notes, aby nabrać przeświadczenia, że był on własnością człowieka poważnego, obda-

zonego silnie rozwiniętym zmysłem rzeczywistości, drobiazgowego i niemal pedantycznego, w każdym swoim zamiarze i postępkach. W notesie zaznaczone były daty urodzin i rocznic rodzinnych, nieco faktów z życia osobistego, kilka cyfr i znaków tajemniczych wspomnień i notatek. Książeczka ta musiała być niegdyś mózgiem graficznym zmarłego; utrwalone w niej zostały wszystkie nieszczęścia, z rozumem i rozumą, w układzie chronologicznym i z wybitnym poczuciem symetrii. W chaosie notatek, numerów, cyfr i znaków znajdowała się właśnie tajemnicza notatka, która tak wzburzyła grono przyjaciół.

Historja samego notesu była nader prosta.

Stara, zubożała hrabina sprzedała go wraz z kilkoma obrazami i starymi, pożółkłymi książkami. Symforjan spotkał ją pewnego dnia, idącą w swej zniszczonej pelerynce, ozdobionej koronkami, po chróst do lasu. Zatrzymała go, by mu opowiedzieć, że ma zamiar pozbyć się paru drobiazgów, odziedziczonych po swym nieodżałowanym przyjacielu, baronie Klugenberg.

— Powinien pan pomóc biednej kobiecie — dodała z uśmiechem.

Symforjan uśmiechnął się również. Wiedział kim była ta biedna kobieta. Tyle już razy hrabina zachwalała jemu i innym puste butelki po perfumach, stare tabakierki i inne cacka mniej lub więcej intymne i autentyczne, a pochodzące rzekomo od jednego z jej starych przyjaciół, księcia, czy arcyksięcia starego régime'u.

— Niech pani przyjdzie dziś wieczór do restauracji „Buco“ — odpowiedział muzyk, wzruszony mimo wszystko jej opłakanym widokiem.

Przyszła, niosąc pod czarną pelerynką kilka spatynowanych płóciń, parę tomów Goethego i Heinego, do których dołączyła, zapewne w celu powiększenia ich liczby, książkę do nabożeństwa i notesik barona, oprawny w kość słoniową.

W kilka dni później Sokrates, który już chciał polecić gospodarzowi, aby

wyrzucił to wszystko, przerzucając notes, zauważył na staronicy 36...

O baronie zostały zebrane natychmiast szczegółowe informacje. Starzec mieszkał przez szereg lat w willi „Magdalena“ ze starą służącą i z okropnym buldogiem, który był postrachem sąsiadów. Jedyną istotą, której baron okazywał pewną łaskawość był ów buldog. Gdy pies zdechł, baron zamknął się w swej posiadłości, z której się już nogą nie ruszył. Przed paru laty przenosił się na tamten świat, a śmierć jego przez nikogo nawet nie została zauważona.

Willą przeszła w inne ręce, poczem, spowodu strat finansowych, które ponieśli jej nowi właściciele, została wystawiona na licytację i zamknięta.

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, trzej przyjaciele postanowili działać zgodnie. Każdy z nich odczuwał w sobie od pamiętnego dnia gorączkę złota. Jak jednak postąpić? Nabyć willę i park? Nonsens. Wynałeż nabywcę i wtajemniczyć go w sekret? Problem trudny, a nawet niebezpieczny. Lepiej działać samym. Park i willa były puste. Wystarczyło trochę odwagi.

Symforjan, który dotąd nigdy nie potrafił być punktualny, wchodził tego dnia, do „Buci“, gdy właśnie biła dziewiąta.

— Czy jeszcze nie ma nikogo? — zapytał.

— Nie, nikogo — odpowiedział gospodarz z głębi lokalu.

— Co znaczy ten zapach przysmażanej cebulki? — zapytał.

Gospodarz z hałasem ustawiał narkrycia.

— Chce pan może, abym smażył wątróbkę na wodzie kolońskiej? — mruknął obrażony.

— Wątróбка? Czyżby pana klienci były koty?

Wczoraj dostałem przecież od panów polecenie przygotowania na kolację wątróбки!

— Wczoraj — powtórzył muzyk w rozmarzeniu — wczoraj niebo było

szare jak ołów, a czarne chmury ciężły nad światem...

— Ależ wczoraj świecił księżyc! — próbował oponować gospodarz.

— Ty nic nigdy nie rozumiesz, szlachetny gospodarzu nawet tego, że musisz nam wszystko dawać na kredyt...

— Rozumiem, że pan może pić trochę za wiele... — mruknął gospodarz przez zęby.

— Dwie, albo trzy szklanki piwa całego kramu! — zawołał Symforjan, zrzucając marynarkę.

— Może nawet dziesięć! Niech panu idzie na zdrowie!

W tej chwili drzwi otworzyły się z hałasem.

— Czy wiecie kim jestem? — zawołał Tosco, wpadając do salki. Jestem Midasem! Królem Midasem! Mam przed oczami beczki pełne złota! Złoto mieni mi się w oczach jak słońce!

Gospodarz przysunął się do niego skwapliwie.

— A zatem, najjaśniejszy królu Midasie — wyszeptał pokornie — ponieważ pan ma aż tyle złota, może zechciałby pan uregulować dawniejszy rachunek?



— Rachunek? Ależ naturalnie! Dawaj go pan zaraz!

— Wszystko razem wynosi 348 lirów 75 centymów — wypowiedział jednym tchem gospodarz, z nosem spuszczoneym nad wielką księgą rachunkową.

— A zatem — zawołał Tosco — podaj nam pan prędko dobrą przekąskę... I pisz pan: lirów 500. Reszta to napiwek.

— A... gotówka?

— Będzie ją pan miał jutro — oświadczył Tosco z monarszym gestem.

— A więc to był żart?... Panowie chcą...

— Dosyć! — zawołał Symforjan. — Przestańcie myśleć o głupstwach!

Na środek saloniku wysunął się Sokrates z podniesioną głową i uroczystym gestem:

— Przyjaciele — powiedział, otwierając ramiona — niechaj Eris, bogini nieporozumień, oddali się od nas na zawsze... Bodajby nigdy w momencie tak historycznym i tak ważkim w następstwa, ohydna chciwość skąpca nie zamąciła waszych myśli. Potrzebujemy spokoju i ciszy. Tosco nie wprowadził pana w błąd — dodał, zwracając się do gospodarza. — Jutro zobaczy pan jak te ręce przerzucać będą banknoty tysiąc lirów gestem Krezusa. Zaczniemy tu poprostu sypać z rogów obfitości. Nie bój się, stary, wypłacimy ci co do grosza!

— A zatem... — mruknął gospodarz, który nic z tego wszystkiego nie rozumiał.

Sokrates położył palec na ustach i zmrużył jedno oko.

— Zachowaj twą ciekawość do jutra, jeśli chcesz coś na tem skorzystać!

Stół w sąsiedniej jadalni był już przygotowany do kolacji.

— Jeśli się nie mylę — powiedział Tosco, zawiązując pod brodą serwetę — tym razem fortuna raczyła nas sobie przypomnieć.

— Od lat trzydziestu czekam bez nadziei na jej uśmiech.

Jedli z apetytem, stukając widelcami w talerze.

— Czy już obmyśliliście jak rozdzie-



limy między sobą skarb? — zapytał Tosco, nawijając na widelec makaron.

Sokrates podrapał się za uchem.

— Jeśli każdy z nas będzie miał ponad sto tysięcy lirów — oświadczył. — będę się uważał za zamożnego człowieka i oddam się rozkoszy dolce far niente.

— Tak jakbyś coś wogóle robił w swoim życiu! — rzucił Symforjan.

Tosco uderzył pięścią w stół.

— Wypraszam sobie...

— No, no, bez awantur! — pośpieszyli go uspokoić dwaj towarzysze. Zastanówmy się lepiej nad tem z czego się może składać ten skarb? Z brylantów, z monet, czy też ze sztab złota?

— Jeśli Pallas Atena pożyczyła mi na chwilę swej głowy, mógłbym ci odpowiedzieć na to pytanie — odparł z pełnymi ustami Sokrates.

Symforjan podniósł do góry szklankę wina:

— Przyjaciele, proponuję uczcić pamięć zmarłego barona, który...

— A ja! — zawołał Sokrates — przyrzekam solennie, w uroczystych strofach uwiecznić jego imię!...

— Doskonały pomysł potowania zdarzeń życiowych w notesie — zaopiniował Tosco.

— Dosyć tych bredni! — przerwał Symforjan. — Powróćmy do rzeczywistości.

Przysunęli krzesła bliżej do stołu.

— Trzeba działać z rozważą — oświadczył Sokrates. — Sznur i łopatę, przechodząc dziś wieczorem obok willi, wrzuciłem w gąszcz wawrzynów, okalających park od strony morza, obok żelaznej furki. Od tej strony wejdziemy. Skała w tem miejscu ma dużo zrębów, które zastąpią nam schody. Na szczęście nie ma dziś księżyca. Będziemy mogli działać spokojnie. Czy już znasz topografię parku, Tosco?

— Doskonale. Mógłbym was popro-

wadzić do domku myśliwskiego z zamkniętymi oczami.

— Mam w kieszeni latarkę elektryczną — powiedział Sokrates. — Tym sposobem mnie pierwszemu przypadnie w udziale zaszczyt objawienia waszym oczom blasku złota i drogich kamieni. Czy będziemy jednak mogli udźwignąć sami, może to będzie duży ciężar?

— Myślę w tej chwili — przerwał Tosco — o starej hrabinie, która włożyła w nasze ręce majątek...

— Niepotrzebnie masz skrupuły, szlachetny młodzieńcze. Przyjdzie czas na wynagrodzenie hrabiny...

Biła północ, gdy opuszczali restaurację „Buci“.

Abbazia tonęła w mrokach. Nad grupami palm i cyprysów, i bielejącymi wśród nich willami, zwieszało się bezgwiazdne niebo. W dali błyszczały światełka Fiume, a na morzu, jak błędne ognie migotały światła łodzi rybackich.

Ruszyli naprzód krętą ścieżką nadbrzeżną, wijącą się według kaprysu skał, zanurzonych w morzu.

Po kwadransie Tosco, który szedł na czele pochodu, zatrzymał się.

— Jesteśmy na miejscu — szepnął.

Sokrates zaświecił latarkę elektryczną. Mur metrowej mniej więcej wysokości okalał grupy ciemnych wawrzynów; w głębi widać było pałacyk, najeżony wieżyczkami.

— Niechaj bogowie nam dodadzą otuchy — zaszeptał Sokrates, wyciągając z kieszeni butelkę koniaku.

Symforjan przeskoczył mur i wydobył z wawrzynów łopatę i sznur, który rzucił towarzyszom.

— Możecie iść — wyszeptał.

Posewiali się naprzód, trzymając się za ręce, aby nie zbłądzić. Po chwili, za grupą palm ujrzeli domek drewniany w szwajcarskim stylu, otoczony cyprysami.

— To jest domek myśliwski, o którym jest w notesie — objaśnił Tosco. Stańmy teraz twarzą do tego domku... Tak... a teraz spojrzymy na lewo... jeden, dwa, trzy... Trzeci cyprys to ten, który... No, co wy na to?

— Daj mi jeszcze jeden łyk koniaku — zaszeptał Symforjan, któremu wzruszenie obsuszyło gardło.

— Mój Boże, nie mam już ani kropelki...

Zbliżyli się do drzewa i zaczęli obserwować teren pod nim.

— Dajcie mi łopatę — zawołał Tosco.

Kopał energicznie w blasku latarki, którą trzymał w chwiejących rękach Sokrates. Blask latarki przesunął się z drzewa na drzewo.

— Coś mi się zdaje, mój drogi, że nie trzymasz się mocno na nogach — powiedział Tosco, podtrzymując Sokratesa.

— To chyba szelmy nocne duchy, ciągną mnie tak co chwila za marynarkę — odrzekł ze śmiechem Sokrates. — No, niech, mi się tylko który z nich nawinie pod rękę! Ale co to jest?

Tosco przestał kopać i pochylił się nad ziemią.

— Światła! — zawołał.

Ale alarm był fałszywy. Przeszkoda, na którą natrafiła łopata, była grubym korzeniem pinji.

— Teraz na mnie kolej — powiedział muzyk, wyrывая z rąk przyjaciela łopatę.

Sokrates zdradzał silne wzburzenie.

— Hekato, córko Perseusza — zaczął deklamować — ty, co dajesz cudotwórczą moc magicznym ziołom czarownicy, i która w mrokach nocy błądzisz po gajach, zechciej wysłuchać!...

— Ależ uciszcie się nareszcie — przerwał Tosco — od strony ulicy znajdować się może stróż nocny.

— Stróż nocny? Któż to taki? Ja już nic nie rozumiem ze spraw tego świata... Widzę tylko zł..

Zgłuszony jakiś okrzyk przerwał mu zdanie.

— To chyba krzyk sowy. Uderzaj śmieiej, żelazo!

Sokrates podał latarkę Tosce.

— O skarbie, który leżysz u naszych stóp, powołany do życia przez nasze żądze, ukaż się nareszcie naszym oczom!

Odrzucał ziemię z taką gwałtowno-

ścią, że obaj przyjaciele odskoczyli o kilka kroków.

— Co ty wyprawiasz? — zawołali.

— Ukaż się, ukaż skarbie — powtórzał Sokrates, nie przerywając roboty.

Nagle, po silniejszym uderzeniu, łopata natrafiła na jakiś twardy przedmiot i coś głośno stuknęło.

Wrażenie było tak silne, że Sokrates odrzucił łopatę i wskoczył do dołu, ku przerażeniu swych towarzyszy.

— No i co? I co? — pytali po chwili. — Co tam jest?

— Drewniana skrzynka — odpowiedział Sokrates, zgłuszonym głosem.

Drżeli ze wzruszenia. Jeszcze chwila, a tajemnica notesu, oprawnego w kość słoniową, zostanie odkryta. Docierali powoli do źródeł rzeczywistości. Bogactwo, użycie, szczęście było więc tu, pod ręką?

Sokrates schylił się jeszcze niżej, podważył zakopaną do połowy skrzynkę końcem łopaty, dysząc z wysiłku i wzburzenia.

— No, możecie się jej teraz przyrzeć! — powiedział w końcu.

Tosco wskoczył do dołu i zanurzył ręce w świeżo skopanej ziemi. Była to

istotnie podłużna skrzynka, długości mniej więcej jednego metra, do połowy tkwiąca jeszcze w ziemi.

Wszyscy trzej wzięli się do roboty, odrzucając ziemię czym się dało, patykami, własnymi rękami. Wreszcie wydobyto skrzynkę zapomocą sznura z dołu. Niecierpliwość zaznaczała się w drżeniu rąk, w błysku oczu.

Stali bez ruchu.

A więc to było prawdą?

— Czego tak stoicie jak malowani? Dalej do roboty!

Tosco pierwszy opanował wzruszenie.

Uderzył z całej siły łopatą w skrzynkę, podważył wieko i oderwał je.

Światło latarki oświetliło wnętrze.

Trwało to sekundę.

Światło zgasło, ledwo trzej przyjaciele zdążyli rzucić spojrzenie do wnętrza skrzynki, a z ust ich wydarł się jednocześnie okrzyk zgrozy.

W skrzynce leżała padlina psa, raczej psi szkielet, ze ślepiami, zapadniętymi w głąb czaszki.

Któż mógł przypuszczać, że „Skarbem“ nazywał swego ukochanego buldoga, baron Klugenberg?

Przekł. aut. Zuzanny Rabskiej



Il. K. Zakrzewski

NOWA ZIEMIA OBIECANA

— Jakto? Więc już nie Palestyna, o której rozwoju tyle się słyszało w ostatnich czasach, tylko jakiś dziwnie brzmiący Birobidżan? — Takie pytanie zadać sobie musi każdy, kto zastanawiał się choćby powierzchownie nad sprawą emigracji i kolonizacji żydowskiej.

Birobidżan stał się przedmiotem zainteresowania dopiero od kilku lat. Przed powstaniem koncepcji przesiedlenia żydów do tego kraju, położonego w głębi Azji sowieckiej, istniały wprawdzie koncepcje pozapalestyńskie, t. zw. terytorjalistyczne, w żydowskim ruchu odrodzeniowym, ale nie posiadały większego znaczenia. Mówiono przecież i o Madagaskarze, i o Angoli, i o innych jeszcze terenach.

Należy sobie uprzytomnić, że znacznie wcześniejszym ruchem niż sjonizm,



był tak zwany terytorjalizm, którego nazwa wywodzi się z dążenia do znalezienia odpowiednio wielkiego terytorjum dla masowego osiedlania żydów. Idea ta cieszyła się szczególnie wielkim powodzeniem wśród zamożnych i wpływowych żydów angielskich. Upatrzyli sobie oni nawet obiekt kolonizacyjny w postaci Ugandy, wielkiej kolonii angielskiej w Afryce centralnej.

Inne odłamy terytorjalistów, zasilone funduszami multimilionera żydowskiego barona Hirscha, szukały właściwego terenu w Ameryce południowej. Dopiero



W DRODZE DO BIROBIDŻAN

powstanie nowoczesnego, t. zw. hercowskiego sjonizmu, skierowało żydowskie zainteresowania w stronę Palestyny.

Terytorjalizm nie dał jednak za wygraną i w dalszym ciągu prowadzi swą akcję na świecie. Teraz do grupy terenów, jakimi się interesuje, przybywa nowy jeszcze w postaci Birobidżanu.

Idea Birobidżanu, jako samodzielnej republiki żydowskiej na Dalekim Wschodzie, wyszła z łona partii komunistycznej. Bolszewicy bowiem są nieprzejednanymi wrogami sjonizmu i uważają ruch osiedleńczy w Palestynie nie tylko za szkodliwą mrzonkę, lecz i za imperjalistyczny atak burżuazji żydowskiej na proletarijat arabski.

Zwalczając Palestynę, zwalczają też

i inne koncepcje terytorjalistyczne. Uważają za jedyną słuszną koncepcję, realizującą przewarstwienie ekonomiczne i społeczne masy żydowskiej, wielką akcję osiedleńczą w Birobidżanie.

W r. 1928 centralny komitet wykonawczy partii komunistycznej ogłosił dekret, na mocy którego okręg Birobidżan na Dalekim Wschodzie sowieckim uznany został za autonomiczny okręg żydowski. Dekret ten stworzył podstawy prawne, ale od tej proklamacji do stworzenia ruchu osiedleńczego było dość daleko. Birobidżan bowiem był krajem prawie dzikim, o wielkiej ilości dziewiczych lasów, nieprzeznaczonych stepów i dzikiego zwierza.

Już pierwsze badania ekspedycji

naukowych wykazały, że kraj jest hojnie wyposażony przez przyrodę w bogactwa naturalne. Toteż koncepcja bolszewicka uwzględniła w swym planie gospodarczym uprzemysłowienie i uproduktynienie Birobidżanu, przy pomocy tanich pionierskich sił przesiedleńczych.

Pierwsze lata były dla nowych kolonistów tak ciężkie, że nierzadkie były dezercje pionierów. Następnie jednak, w związku z pogarszającymi się stosunkami sowiecko-japońskimi, zyskał Birobidżan na znaczeniu jako placówka strategiczna i wobec tego skupił na sobie większe zainteresowanie władz sowieckich. Przedewszystkiem wyraziło się to zwiększeniem kredytów na rozbudowę. W ten sposób, przy równoczesnej akcji propagandowej, udało się

bolszewikom stworzyć argument przekonujący dla żydów, wskazując chociażby na to, że w ciągu 6-iu lat pracy osadników w Birobidżanie ilość ziemi uprawnej wzrosła o 250%, osiągając 35.000 ha, a ilość gospodarstw kolektywnych urosła z 4% na 90%.

Oczywiście mechanizacja pracy rolnej została przeprowadzona na tym terenie w całości. Nie obeszło się, rzecz prosta, bez zwykłej przesady i hurra-reklamy.

Korzyści konkretne, jakie przemysł sowiecki obiecywał sobie po bogactwach naturalnych Birobidżanu, skłoniły władze do przyspieszenia organizacji przemysłu młodego kraju. Bogactwa węglowe, rudy żelaznej, leśne i t. p. sprawiły, że jak grzyby po deszczu wyrosły w Birobidżanie zakłady przemysłu

PASIECZNIK W BIROBIDŻAN





TEATR ŻYDOWSKI W BIROBIDŻAN

słowe, kalkulujące się jedynie dzięki taniej sile roboczej.

Żydzi w Birobidżanie wyrabiają meble, prowadzą wielkie kopalnie torfu, osuszają olbrzymie bagniska, hodują jedwabniki, wyrabiają konserwy mięsne i t. p.

Bolszewicy w swej akcji propagandowej obwieścili światu, że na terenach Birobidżanu, w krótkim czasie, została przetworzona psychika Żyda handlarza-pośrednika w psychikę produktywnego elementu społecznego. Osiągnięto ten cel jakoby przez daleko idącą autonomję kulturalną, rozbudowę sieci bibliotek, instytutów naukowych, wreszcie przez samą technikę nowej dla przybyszów pracy.

Praca i rozwój kulturalny Birobidżanu jest, według informacji sowieckich, podawanych zresztą w wątpliwość przez pisma żydowskie w innych krajach, czemś niesłychanie ciekawym w sensie eksperymentu społecznego na wielką skalę.

Należy zaznaczyć, że Chińczycy i Koreańczycy na tym terenie cieszą się również daleko idącą autonomją i mają własne szkolnictwo.

Obecnie w obozie żydowskim rozgrywa się zaciekle walka o duszę. Z jednej strony sjonizm z jego ideałem palestyńskim, z drugiej żywotny wciąż jeszcze terytorjalizm, który przychylnem okiem zerka na eksperyment sowiecki, z trzeciej wreszcie Birobidżan, który przy materjalnem poparciu Sowietów może stać się ważkim argumentem na rzecz tego rodzaju rozwiązania kwestji żydowskiej.

Narazie trudno wydać o Birobidżanie jakiś sąd definitywny. Kraj ten, znajdujący się tak daleko i mało dostępny przeciętnemu turyście, obwarowany propagandą jednostronnej prasy sowieckiej, jest wielkim znakiem zapytania.

Daleko łatwiej mówić o Palestynie. Dla wszystkich, którzy chcą sobie zadać trud, zbadania naocznie i osobiście wa-

runków, łatwo pojechać do Palestyny i obejrzeć Tel Aviv, pomieszkać we wsiach żydowskich, łatwo wreszcie wejść w kontakt z przedstawicielami ludności arabskiej.

Wiadomo, że Żydzi i Arabowie ścierali się ze sobą nawet z bronią w ręku, wiadomo jakie są koncepcje rozbudowy kraju, wiadomo, że akcją kierują ci a nie inni ludzie, wreszcie wiadomo jakie interesy pozażydowskie wchodzą w grę.

Birobidżan jest częścią składową gigantycznego eksperymentu, który w dochodzeniu do swych celów nie zwykł się liczyć ani z jednostką, ani nawet z całymi grupami społecznymi. Życie człowieka, czy też grupy, szczęście indywidualne nieistnieje. Cel uświęca środki.

Jakie są pokrzyżowania interesów ogólnosowieckich, strategicznych, propagandowych i sowiecko-żydowskich tego dokładnie nie wie nikt. Birobidżan ginie w ogólnej niewiadomej eksperymentu.

Jedno jest pewne: wszyscy interesujący się kwestją żydowską i żydzi w pierwszym rzędzie, przez Palestynę, przez Birobidżan, przez dążności terytorjalne wogóle, chcą rozwiązać problem żydowski, który sam przez się prze do jakiegoś rozwiązania. Jakie to rozwiązanie będzie okaże dopiero przyszłość. Eksperymenty dla rozwikłania potrzebują czasu. (S.).





Rateta i Raketak

Upalna godzina na Madagaskarze...

Glina na baraku dla trędowatych rysuje się i pęka. Rzadkie eukaliptusy złożyły liście i opuściły gałęzie, niezdolne udźwignąć żaru. Leje się z nieba roztopiona miedź. Agawy wystrzelają spośród kolczastych liści łodygą pięciometrową, na której bieleją nikle dzwonki. Osiedle jest otoczone temi łodygami, jak słupami telegraficznymi.

W podłużnym budynku bez okien otwarte drzwi. Nędzne drzwiczki z deszczulek, przez które przecieka deszcz i gwizdliwie przedmucha wicher. Barak wystawił na światło wnętrza izdebek, jak rany smrodliwe. Na ścianach zacieki od deszczu. Na podłodze glinianej mata z trawy. W kącie — garnek z wodą, obok mniejszy z ryżem i na dwóch ceglach trzeci garnek do gotowania ryżu.

W niektórych izdebkach leżą bezwładnie chorzy bez rąk i nóg, których jeszcze niczyja dobra wola nie wywlokła na słońce. Ale większość siedzi przed swymi izdebkami. Siedzą na ziemi, uniósłszy w górę kolana. Aż pod brodę otula ich płaszcz-lamba, wielkie prześcieradło płócienne, prawie jedyne ich odzienie.

Dwóch trędowatych gra w *fanurun*. Szachownica do tej gry składa się z rowków, w które wkładają kamyki zamiast figur. Jeden z graczy jedynym palcem ręki, zzartej przez białą, suchą pleśń, przesuwając kamyki z rowka do rowka. Drugi pochyla nad grą potworną twarz — jedną zaskorupiałą ranę. Dokoła, owinięci szczelnie w *lamba*, siedzą inni trędowaci. Przyglądając się

grze zapominają na chwilę o sobie. W ciekawych momentach gry, gdy szala zwycięstwa się waży, wołają:

— Adre, adre (oj, oj).

I klaszczą w ręce. O ile mają ręce. Hałaśliwa uciecha nie porusza tych, co już dogorywają — kloce bez członków, ledwo poruszające krwawymi kikutami. Siedzą w kucki; białe, małe piramidy z czarnym wierzchołkiem — głową, schowawszy się w białą tkaninę, osłoniwszy nią nawet podbródek.

Nagle jeden z silniejszych Malgaszy nadbiegł od linii granicznej, oddzielającej schronisko dla trędowatych w Ambahivurak od reszty żyjącego świata. Z niezmiernym ożywieniem wymachuje rękami.

— Burżany (tragarze) niosą filanzanę (lektykę). Zatrzymali się przed rowem. Z filanzany wysiada kobieta.

Wszyscy zdrowsi ruszyli ku granicom osady i zatrzymali się w przepisanej odległości od przybyłych.

Z lektyki wysiadła wysoka, piękna Malgaszka. Otulała się w cieniutką *lamba*, bogato haftowaną. Poruszając się, dzwoniła na rękach bransoletami.

Kiedy zwróciła twarz ku trędowatym, zobaczyli, że na tej pięknej ciemnej twarzy z jednej strony jest strup pofałdowany, jak zwoje mózgu.

Patrzyli ze zgrozą. Tak — kiedyś każdy miał chwilę, gdy odrywał się od świata żyjących.

— Bądź wspomóżona od Boga Raketak — chórem powiedziało zwykłą formułkę ośmiu tragarzy.

Malgaszka odwróciła się:

— Bądźcie dobrze idąc, bądźcie do-

brze wracając — odparła zdławionym głosem: — powiedzcie Mangavelu...

Głos jej załamał się. Odwróciła się i szła dumna i wyprostowana, nie zwracając uwagi na nikogo. Nie widziała nawet, jak tragarze przerzucili za nią przez rów graniczny lektykę, w której ją nieśli. Nie chcieli jej zabrać spowodowanym do świata zdrowych.

Po chwili kierownik schroniska, zakonnik misji francuskiej, prowadził ją do baraku.

— Oto jedyne miejsce wolne — powiedział — w tej izdebce jest tylko jedna niewiasta.

W izdebce na macie siedziała kobieta. Trzymała na kolanie dłoń, opanowaną przez suchą zgniliznę. Miała na niej już tylko dwa palce. Okaleczona dłoń krwawiła. Kobieta z trudnością bandażowała ją drugą ręką. Jęczała przytem cicho i monotennie.

— Oto twoja nowa towarzyszka, Rateta — powiedział zakonnik i odszedł.

Rateta ucichła i odwróciła twarz, której jednostajny kolor brązowy zmieniła na jednym policzku plama podskórna, nadając jej odcień fioletowy.

Ujrzawszy przybyłą, krzyknęła dziko:

— Raketak.

I zaśloniła twarz rękami, między którymi zwiśł skrwawiony bandaż.

Oczy Raketak dziko zapłonęły. Z gardła ściśniętego wydobywały się chrapliwe dźwięki. Nachyliła się po kamień na glinianej podłodze. Szła z nim straszna, dysząca nienawiścią ku postaci skulonej.

— Zabij — krzyknęła Rateta — zabij. Czy myślisz, że takie życie nie gorsze od śmierci?

Raketak zatrzymała się. Ręka jej opadła. Pierś szybko dyszała od rozdrażnienia.

— Prawda przy tobie — powiedziała nienawistnie — dlatego żyj. A ja będę patrzyła. Wiedziałaś, że życie trędowatego gorsze od śmierci i dlatego sprzedałaś mi *lamba* zarażone trędem, a sama uciekłaś do kraju Betsileów.

Usiadła wyczerpana do reszty. Rateta zaczerpnęła kubek wody i podała jej.

— Zrobiłam ci straszną rzecz — powiedziała — ale tyś mi zabrała moje szczęście. Zabrałaś mi Mangavelu.

— Mangavelu nigdy nie miał wziąć ciebie za żonę. Kopałaś dla niego manjok i pataty i zbierałaś szarańczę. Wszak on był już *vazà mainty* (czarny Europejczyk — Malgasz, który ubiera się po europejsku). Musiał mieć żonę bogatą, któraby mówiła językiem *vazà*.

— Gdybyś ty nie wróciła z misji i nie zaczęła go ciągnąć do siebie jak ljaną, byłby ożenił się ze mną. Wszak mi obiecywał. Przez ciebie musiałam pójść z mojej wsi do kraju Betsileów i tam zarażam się trędem od nieznajomych ludzi. Wtedy, wróciłam, by ciebie zarazić i znów uciekłam, aż mnie złapano na drogach i odstawiono tutaj.

— Ja sama tutaj poszłam, żeby nie cierpieć inni, żeby nie zachorował Mangavelu. Nie jestem takim jadowitym skorpionem, jak ty, który wślizguje się do domu, by ukąsić na śmierć. Za to cierpisz teraz nędznie.

— Tyś mi zabrała Mangavelu. Tyś zabrała mi więcej, niż zdrowie.

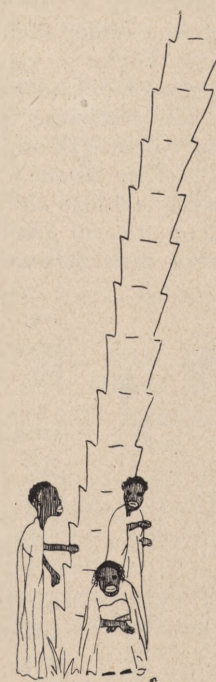
— Tyś mi zabrała i zdrowie, i Mangavelu, gdyż nie mogę żyć z nim, będąc trędowatą.

— Byli mężowie, którzy przyszli aż tutaj, do tego piekła, za swemi żonami.

— Ale ja nie chcę, rozumiesz? Uciekłam tak, że Mangavelu nie wie, gdzie jestem.

— Może ciebie szukał? Piękności strupowatej? Co, może szukał?

Raketak odwróciła się od niej i wyszła. Usiadła przed barakiem, owijając się w *lamba*. Biała piramida z czarną



głową i mnóstwem zaplecionych warkoczyków.

Rateta wyszła za nią i usiadła po drugiej stronie odrzwi, również owijając się w płótno. I tak siedziały nieruchomo, podniósłszy wysoko kolana i objawwszy je rękami.

Prażyło niemiłosierne słońce afrykańskie. Na widnokręgu ukazała się luna. Krajowcy palili suche trawy.

Płonął żar. Płonęła wściekła, bezsen- na nienawiść.

*

— Ja nie będę gotowała dziś ryżu — klótniwie zaczęła dzień Raketak — bierz angadi i subik (łopatkę i koszyk) i idź po trawę, żeby nanieść ogień.

Rateta, która leżała na macie owinięta w swe płótno, odrzuciła je i wyciągnęła przed siebie dwa krwawiące kikuty.

— Mam zbierać trawę — czem?

— Inni mają nie lepiej od ciebie. Nie zbierzesz — nie będziesz jadła.

I odwróciła się, czesząc włosy pękiem grubej, suchej trawy.

Rateta dźwignęła się ze stękaniem.

— Jeszcze ci mało kary bożej? Choćbyś była tak samo bezręka i zjedzona przez zarazę jak ja, jeszcze byłoby ci lepiej. Szuka ciebie może, w każdym razie kocha i wspomina. Zato ciebie nienawidzę. Choćbyś ty mi przebaczyła, ja nie przebaczę ci nigdy. Niech monper (ojciec-zakonnik) mówi, co chce.

— Tyle dbam o twoje przebaczenie, co o zdechłego wołu bez skóry. Patrząc ją, ona ma mi przebaczyć! Zbrodniarka, która zniszczyła mi ciało.

— A ty zabiłaś mi duszę. I ty sama nie wierzysz, że Mangavelu ciebie szuka.

— Tymczasem ty poszukaj suchej trawy, jeżeli chcesz jeść.

— Nie żałuję, że stałaś się trędowata, tysiąc razy zrobiłabym to samo.

— Miał rację Mangavelu, że porzucił taką czarownicę, jak ty, taką stojącą, takiego kajmana.



Rateta, dysząc z pasji i jęcząc, wzięła łopatkę z długą rączką i koszyk. Raketak usiadła przed drzwiami izdebki. Patrzyła, jak nieszczęśliwa brała w krwawiące bez palców kikuty łopatkę, jak z trudnością ucinając trawę u korzenia i przyklękając, zbierała naręcze do koszyka. Nie czuła litości. Zeschło w niej wszystko od nadmiaru nieszczęścia.

— I ze mną będzie tak samo — szarpała się bez końca tą myślą — gdyby nie ona, żyłabym. Teraz gniję...

Od tej świadomości zrobiło się jej niezdolnie. Wstała i podeszła do młodzieńca, stojącego przed barakiem. Oczyszczyła go, przyniosła ryżu z izdebki i zaczęła go tłuc długim, grubym kijem.

Rateta wróciła z trawą i zwała się bezsilnie na matę. Raketak w milczeniu zaczęła wkładać trawę między dwa kamienie, na których stał garnek z ryżem. Podpaliła ją i wciąż podkładała nowe garści. Izdebka wypełniła się dymem.

Po zjedzeniu ryżu usiadły znowu bezczynnie przed barakiem, owinięte w płótno, wznosząc ku słońcu osypane trądem twarze — wyrzut straszliwy życiu, znak straszliwy pokuty.

Z nieba kapie miedź roztopiona. Dla- wi dręczący żar.

Dławi dręcząca nienawiść. Nie kończąca się nigdy.

*

— No cóż, nie przebaczycie sobie? — pyta łagodnie zakonnik, przystając przed dwiema kobietami.

Obie sprężają się. Śmiertelna nienawiść wystrzela z oczu zaropiałych.

— Nigdy — charczą.

Z westchnieniem przechodzi zakonnik, przebijając na ich intencję ziarna różańca.

— Kto pójdzie zebrać? — woła wzdłuż baraku katechista Rainilaiwau Józef — już niema na jutro ryżu. Już zjedzone wszystkie pataty. Niewiadomo, kiedy przyszlą z misji.

Wszystko jedno czem wypełnić nieskończone godziny gnicia żywem. Podnoszą się ci, co mają nogi. Podnoszą się Raketak i Rateta.

Idą na drogę, białą od pyłu, wyciąga-

jącą się prosząco wdał wśród suchej trawy pustyni. Siadają w kilkoro pod wędnącem w żarze eukaliptusem. Daleko, na sam środek drogi, wystawiają koszyczek z sitowia. Czekają. Może spośród płaskich kamieni wypełźnie skorpjon albo żmija. Może z pobliskiej wioski przyjdą policjanci, czarnolicy dygnitarze rządu francuskiego i zaczną spędzać z drogi nieszczęśliwych. Może przejdzie człowiek, ulituje się nad niewiarogodną nędzą i rzuci pieniądza...

Dłużą się godziny. Leje się z nieba miedź roztopiona. Piecze żar. Piecze nieugaszona nienawiść...

Biała, zakurzona droga prowadzi w świat żywych. W świat śpiewu, tańca, beztroskiego śmiechu, sytości. Prowadzi w świat, gdzie była miłość. Miłość... Och, gorąca, naiwna, szczęśliwa miłość...

Nie wytracić jej w ciałach poranionych i cierpiących. Przyjdą; zejdą na dno więzienia w godzinach gdy milknie choroba, tęsknoty, krwawe tęsknoty owiane szaleństwem i bólem. Nie zgubić ich tak, jak odpadających stopniowo członków, po których zostaje brak, niewygoda i dolegliwość ran.

Gdyby przyszedł ktokolwiek stamtąd... Gdyby stanął upiór dawnego życia... Gdyby na zaschłe, zadręczone dusze spadła wiedza ożywcza, że ktoś jeszcze pamięta...

Przeszedł Malgasz w obszernym *lam- ba*, pod którym widać tylko opaskę do- koła bioder. Zobaczył trędowatych; z przekleństwami, wymachując rękami ominął ich szerokim półkolem i jeszcze długo odwracał się za siebie i wy- grażał.

Niech nie stają na drodze zdrowym.

Idzie Malgasz ubrany w białe euro- pejskie ubranie. Nie ucieka. Jest coraz bliżej. Coraz bliżej... Rateta jęknęła scicha. Raketak zacisnęła obrzękłe war- gi. Narzuciła skraj *lam- ba* na oszpeconą połowę twarzy.

Malgasz przystaje o kilka metrów od trędowatych. Wyjmuje kilka frankówek. Rzuca je w koszyk. Mówi żartobliwie:

— Łapcie jeden z drugim, kto ma jeszcze palce.

Trędowaci odrazu wybuchają śmie-

chem. To ich zwyczaj. Śmieją się łatwo, śmieją się z byle czego. Nie śmieją się tylko dwie kobiety.

— A powiedzcie mi, dobrzy ludzie — mówi ofiarodawca, poważnie- jąc — czy niema w was- zem schronisku ko- biety, która się nazy- wa Raketak?

— Oto ta, oto ta — zawołało kilka głosów.

— Raketak, tak dawno ciebie szu- kam — mówi Mangavelu wzruszony.

— Odejdź, odejdź, bo się jeszcze za- razisz, nie patrz na mnie — mówi Ra- ketak; ale dusza jej roztopia się nagle. Pamiętał o niej. Żałuje jej.

— Tak płakałem i lamentowałem, kiedyś odeszła — mówi dalej Mangave- lu — zaraz przypomniałem sobie tę biedną dziewczynę, Ratetę, którą tak skrzywdziłem. To była dobra dziewczyna. I ona jest gdzieś wśród trędowa- tych. To za nią Bóg odebrał mi ciebie.

— Prawda przy tobie — odzywa się Rateta — ale ja już żadnej krzywdy nie pamiętam. Niech Bóg uczyni cud i wró- ci ci twoje szczęście.

— To już niemożliwe, biedna Ra- teto. Ale teraz, Raketak, wiem gdzie jesteś. Przyślę ci ryżu, mięsa. Może dasz także biednej Rateta. Nie miejcie choroby za wiele, wyzdrowieście, bądź- cie wspomóżone od Boga.

Biegnie za nim nabrzmiałe łzami:

— Bądź dobrze idąc, bądź dobrze wracając.

Mangavelu odchodzi. Tak, świat ży- wych nie zapomniał o nich. Otrzymała jałmużnę współczucia nawet nieszczęsna, ongiś odrzucona Rateta.

Z serc odpadły suche strupy — zasta- rzała nienawiść. Nie wypomina Rateta, że i o niej Mangavelu pamięta, nie py- szni się Raketak, że jej szukał...

Zwracają się ku sobie jednocześnie i obejmują się z szlochaniem nieskończo- nej ulgi...

Anna Zahorska



Trucizna

w świetle historycznej „Kroniki Kryminalnej”

W dziełach historycznych niema rubryki — *Kronika kryminalna*, *Nieszczęśliwe wypadki* lub *Niedole i zbrodnie*. Na kartach historii nie znajdziemy opowiadania o człowieku, zato roi się tam od „postaci”, które dokonują „czynów”. Postaci historyczne wplecione są w dziejowy łańcuch przyczyn i skutków i z tego punktu widzenia oceniamy ich postępowanie. Gdyby Agrypina nie otruli Claudiusa, prawdopodobnie Neron nie zostałby cesarzem rzymskim. Zbrodnia urasta do rozmiarów brzemiennej w skutki wydarzenia historycznego. Bardzo łatwo pomijamy w tym wypadku rozważania etyczne, pod wrażeniem, że przy-



Agrypina

Cesarz Klaudjusz

tlaczająca nas swym ogromem maszyna dziejowa musi być w ciągłym ruchu. W zrozumieniu powagi sytuacji nie mamy odwagi doszukiwać się poza mechaniką faktów ludzkiej twarzy i ludzkiej duszy. Czasami tylko wzrok nasz zatrzyma się na rysach fizjognomji utrwalonej przez historyczny portret, co daje możliwość uprzytomnienia sobie, że ci wielcy sprzed wieków też byli z ciała i kości. Zastygła w antycznej rzeźbie twarz Agrypiny ma wyraz dziewczęcej niewinności. Niewiadomo o ile klasycyzujący artysta wyidealizował jej rysy, ale w każdym razie na podstawie zachowanego obrazu trudno byłoby przypuścić, że ta młoda kobieta ulegnie w zaślepieniu instynktowi macierzyńskiego i popęlni zbrodnię trucicielską. Dochowany, również w postaci rzeźby, wizerunek Claudiusa, ukazuje go nam jako surowego despotę, o ascetycznie ściągniętych, wąskich ustach i raczej jego skłonni bylibyśmy posądzić o pewną bezwzględność w metodach postępowania. Pucułowata twarzyczka Nerona, gdyby nie przykre dysproporcje rysów, nadawałaby się świetnie dla jakiegoś baroko-

wego aniołka. Jednak jego szeroki, rozplaszczony nos i drobne, kapryśnie ułożone wargi nie wzbudzają zbyt dużego zaufania.

Trudno stwierdzić o ile rzeźba, w odniesieniu do osobistości świata antycznego, portrety historycznych postaci z okresu średniowiecza i czasów nowożytnych odtwarzają ściśle podobieństwo osób portretowanych. W każdym razie pozwalają nam zbliżyć się trochę do ludzi, których życie nie odbiegało tak bardzo od szablonu współczesnych niedoli i zbrodni.

Gdyby historia ludzkości od zarania dziejów była wydawana w formie dziennika, podzielonego na odpowiednie rubryki i wydawanego w odpowiedniej ilości egzemplarzy uniknęlibyśmy pewnie wielu nieścisłości. Straciłoby wówczas rację bytu romantyczny detektyw historyczny, który przy pomocy metod naukowej dedukcji bada intymne zakamarki pożycia małżeńskiego Ramzesa Drugiego. Bez pomocy tego roztargnionego pana w okularach, który przeżywając zdradę małżeńską Ramzesa doznaje największych dostępnych mu sen-



Neron w dzieciństwie

Lukrecja Borgia

sacji erotycznych, byłoby wiadome napewno, którą nogą wstał Napoleon z łóżka w dniu Waterloo i czy Agrypina otruli Claudiusa grzybami czy jagodami.

Odnosząc się z całą pobłażliwością, do niedoskonałych metod kronikarskich, stosowanych przez naszych przodków, musimy w wielu wypadkach zadowolić się temi strzępami wiadomości, które dochowały się w legendzie, podaniu historycznym i zapiskach, często niewiadomego pochodzenia.

W starożytności opiekowała się zawodem trucicielskim ponura bogini Hekate. Pod jej wysokim protektoratem została dokonana zbrodnia na bohater-skim Heraklesie, który został otruty przy pomocy ubrania Nessusa. Hekate patronowała Medei, kiedy ta truliła swoje rywalki. Hekate wreszcie darzyła natchnieniem Gigis, oficjalną trucicielkę, na dworze króla Dareos. Do jej funkcji należało przyrządzanie odpowiednich preparatów i obmyślanie nowych, oryginalnych sposobów podawania ich osobom, których los został przesądzony, spowodu takich, czy innych racji stanu.

Obserwując historię ludzkości, zauważymy, że nie potrafiła ona zrobić ani jednego kroku naprzód nie posługując się indywidualnem, czy zbiorowem morderstwem. Oczywiście teraz sprawy te są już odpowiednio sklasyfikowane i uzgodnione ze wskazaniem konwencyjnej etyki i moralności, podczas gdy dawniej działo się to wszystko bardziej dorywczo i mniej systematycznie.

Zapotrzebowanie na skuteczną i łatwą do manipulowania broń było zawsze duże. Mężczyźni posługiwali się przede wszystkim siłą własnych mięśni, podczas gdy słaba, bezbronna kobieta, musiała wytężyć swój spryt i inteligencję żeby dorównać męskiej połowie rodu w postępie dziejowym. Trudno się dziwić, że tam gdzie skrytobójca posługiwał się sztyletem, kobieta używała trucizny. W jej delikatnych paluszkach śmiertelne mikstury osiągnęły wysoki stopień doskonałości i raziły gwałtownością pioruna największych mocarzy.

Matka Aleksandra Wielkiego otruła swego męża. Cesarz Romanus II posłubił córkę karczmarza, trucicielkę swojego ojca, która następnie była podej-



Lorenzo Mediceusz

Marja Stuart

rzana o sztuczne przyspieszenie zgonu Romanusa. Fredegunda, konkubina króla Chilpericha II z Neustrien otruła jego żonę Galswinthę. Siostra zamordowanej królowej wykazała nieomal genialne zdolności skrytobójcze, trując dziesięciu królów frankońskich.

Oczywiście byłoby niesprawiedliwością pomawiać tylko piękną połowę rodu ludzkiego o posługiwanie się truciznami. Mężczyzna od zarania dziejów wykazywał skłonność do specjalizacji zawodowej. Rycerz posługujący się mieczem i włócznią był poprostu za głupi, żeby umieć się obchodzić z tak delikatną bronią, wymagającą dużej znajomości psychologii ludzkiej i sprytu. W wypadku jednak, gdy sobie nie mógł poradzić w starciu wręcz, chętnie zwracał się o pomoc do specjalisty alchemika. Tajemnej wiedzy średniowiecznych alchemików zawdzięcza swoje powstanie wiele skutecznych trucizn.

Do najwyższego stopnia rozkwitu doszła sztuka trucicielska w bujnej epoce Odrodzenia. Już nie pojedyncze nazwiska ale całe rody słyną z umiejętności

posługiwania się bronią Hekate. Czemże jest zatruta róża Kleopatry w porównaniu ze śmiertelnościami kluczami lub rękawiczkami Borgiów i Medyceuszów? W tych czasach umiano już dozować trucizny działające stopniowo, niepostrzeżenie, wywołujące objawy chorobowe, paraliż i obłęd.

Stosowano belladonnę, strychninę, arszenik, cykutę — w XVII w. modna była *agua tofana*, sprzedawana po wysokich cenach, jako olej i manna Św. Grobu. Z tych czasów dochowały się wizerunki francuskiej mistrzyni trucizn Voisin i Niemki Gesche Margarete Gottfried.

Tragiczna postać Marji Stuart otoczonej nimbem mglistych nieudolności, w świetle współczesnych badań rysuje się wyraźniej. Nie ulega już wątpliwości, że otruła swojego męża i spoza martwego szyldu historycznego nazwiska ukazuje się nam twarz kobiety, która wiele przecierpiała, borykając się z ludzkimi namiętnościami.

Jednym z motywów zapewniających truciznie dużą wziętość, była aż do



Voisin

Gesche Marg. Gottfried

ostatnich czasów trudność diagnozy, co do istoty zatrucia, zdefiniowania rodzaju trucizny i znalezienia poszlak obciążających skrytobójcę. Współczesna nauka medycyny zdobyła sobie duże zasługi, wynajdując szereg skutecznych odtrutek i umożliwiając kryminologom postawienie niemal niezawodnej diagnozy. Morderca posługujący się trucizną coraz mniej może liczyć na bezkarność, toteż rola trucizny w życiu współczesnym zmieniła się zupełnie. Jodyna, esencja octowa, kwas solny są raczej rekwizytem demonstracji samobójczej dla ludzi, chcących w ten sposób zaakcentować swój protest przeciwko niedoskonałości świata.

Z punktu widzenia współczesnej toksykologii średniowieczne trucizny straciły swoją ponurą tajemniczość. Wiedza medyczna poszła tak daleko, że większość trucizn jest stosowana obecnie jako środki lecznicze, i oddaje nieocenione przysługi ludzkości, dla której dawniej były postrachem.

M. E.

Swoi o Swoich

Znakomity pisarz francuski, laureat Nobla, Romain Rolland nie cieszył się sympatją swego równie znakomitego rodaka i kolegi po piórze, Anatola France'a. Ten ostatni powiedział kiedyś o nim:

— Rolland umie tylko wygłaszać kazania. Jest to człowiek o duszy protestanckiego pastora z małego miasteczka, który żyje między Biblią a pianinem obok brzydkiej a wiernej żony.

*

Znany krytyk Alfred Kerr nie znosił Tomasza Manna. Gdy w pewnym towarzystwie mówiono o nim, Kerr oświadczył zjadliwie:

— Gdy po śmierci Manna będzie się dokonywać sekcji jego zwłok, zbyteczne będzie otwieranie czaszki, ponieważ siedlisko władz umysłowych Manna znajduje się w innej części ciała.

*

Podobno d'Annunzio, gdy zasiada do pisania swych utworów, zawsze stawia przed sobą na biurku małe akwarjum ze złotymi rybkami.

Dowiedziawszy się o tem Bernard Shaw, powiedział:

— Niema podstaw, by z tego powodu musiało interwenjować towarzystwo opieki nad zwierzętami: ryby nie umieją... czytać.

*

Pewien cudzoziemiec zapytał kiedyś Mussoliniego, dlaczego faszyzm takim kultem otacza d'Annunzia i dlaczego ciągle go obsypuje złotem.

— D'Annunzio — odrzekł Mussolini — jest jak dziurawy ząb: trzeba go wyrwać z korzeniem albo wypełnić złotem!

*

Przed ukazaniem się znakomitej „Historji kultury“ jeden z kolegów Egona Friedella, chcąc dokuczyć autorowi, powiedział:

— Wyobrażam sobie, że ta książka zawiera wszystko, co mnie nie interesuje.

— O, bynajmniej! — odciął się Friedell. — Nie jest ona aż tak obszerna.

*

Maksym Gorkij był zamłodu, przez krotki zresztą czas, śpiewakiem w jednej z prowincjonalnych oper. Nie zdobył na tem polu sławy, gdyż głos miał nieszczerólny, ale zamięłowanie do śpiewu pozostało mu na całe życie.

Kiedyś, będąc już sławnym pisarzem, śpiewał w pewnym towarzystwie. Jeden z obecnych, wśród których było wielu wybitnych artystów i pisarzy, zapytał świetnego humorystę Czechowa:

— Niech mi pan wytłumaczy, dlaczego właściwie Gorkij śpiewa z zamkniętymi oczami?

— To jest zupełnie zrozumiałe — odrzekł ze śmiechem Czechow. — Gorkij ma bardzo dobre serce: nie może patrzeć na cierpienia innych ludzi.

*

Autor „Atlantydy“ Benoit, skarżył się kiedyś w kole przyjaciół na ataki prasy, ostro krytykujące jego twórczość.

— Mój drogi — powiedział na to Paul Bourget — ja dopiero wtedy poczułem się sławny, kiedy przestałem czytać gazety.

*

Pewien młody kompozytor usilnie zabiegał, by Berlioz wypowiedział swe zdanie o jego twórczości. Gdy odegrał kilka swych utworów, Berlioz powiedział:

— Będę szczerzy wobec pana. W tem, co pan odegrał, nie znajduję żadnego talentu ani żadnych zapowiedzi na przyszłość. Póki czas, niech pan, jako młody, obierze sobie inny zawód.

Młody kompozytor wyszedł zrozpaczony. Gdy był już na schodach, Berlioz wybiegł za nim i zawołał:

— Powiedziałem, co myślałem, ale muszę wyznać, że gdy byłem w pańskim wieku i mnie w taki sam sposób radzono.

*

Gdy armja rosyjska doznała w Szwajcarji porażki, jej wódz, Suworow wydał do żołnierzy płomienną odezwę. Gdy dowiedział się o tem król pruski, rzekł:

— Suworow jest jak bęben: odzywa się dopiero wtedy, gdy go biją.

*

Gramatyk francuski d'Acarq, spotkawszy pewnego dnia na przechadzce Jana Jakóba Rousseau, z którym łączyła go zażyła znajomość, powitał go temi słowami:

— Aha, w twojej ostatniej pracy znowu znalazłem mnóstwo wykroczeń przeciw gramatyce.

Rousseau odpowiedział na to z łagodnym uśmiechem, jaki prawie nigdy nie schodził z jego twarzy:

— Być może. Ty znasz lepiej ode mnie gramatykę francuską, zato ja lepiej od ciebie znam język francuski.



Kontakt z miejscową ludnością



Posiłek

Manewry jesienne

Rezydencja Dowódcy Pułku



Komfort życia codziennego





O pięknie i pożytku jazdy konnej

Rzecz ma się tak: życie mechanizuje się coraz bardziej. Gdzie wczoraj jeszcze był człowiek i jego najmilszy towarzysz — koń, tam dziś jest maszyna, a koń wspomniany jest cokolwiek ironicznie w symbolicznym skrócie H. P.

Wkrótce mówić się będzie tylko o koniach mechanicznych. A przecież my, ludzie miasta, dziś jeszcze doznajemy głębokiego wstrząsu nie tylko na wyścigach konnych, gdzie w grę wchodzi niskie instynkty zysku totalizatorowego, lecz na dżentelmeńskich, tak rzadkich niestety zawodach, gdzie na pierwszym planie znajduje się szlachetna rywalizacja i czyste piękno.

To atawistyczne wzruszenie zasadza się na głębokim odczuciu łączności człowieka i jego przyjaciela konia, na zrozumieniu piękna ich współpracy, skoordynowania ruchów i wysiłku.

A łączność ta i współpraca posiada przecież za sobą tradycję, sięgającą w zamierzchłą przeszłość ludzkości. Na wykopaliskach staroegipskich, na wielkich kamieniach Babilonu i Asyrii — widnieje koń jako towarzysz pracy rolnika i trudu żołnierza.

Dawniej jeszcze bodaj, na ścianach jaskiń, rysowali przedhistoryczni ludzie konia już jako oswojonego przyjaciela i pomocnika.

Czy należy powoływać się na świadectwa późniejszych wieków? Koń ludów koczowniczych, najeźdźców, którzy przemienili oblicze Europy, koń rycerza krzyżowego, koń polskiego husarza — to etapy znaczenia życiowego zwierzęcia, które dziś przeżywa swój zachód.

Jest w sztuce starożytnej symbol: centaur, pół człowieka, pół konia. W tym symbolu może najlepiej uwidatniony został związek człowieka ze zwierzęciem, najbardziej mu obok psa oddanem i pożytecznym.

Wzruszenie staje się więc jasne, przeżycie w obliczu rywalizacji jeździeckiej zrozumiałe. Może jeszcze na końcu tych doznań stoi podświadoma chęć odnowienia szlachetnego sportu, który niestety w wirze współczesności usuwa się na plan coraz dalszy.

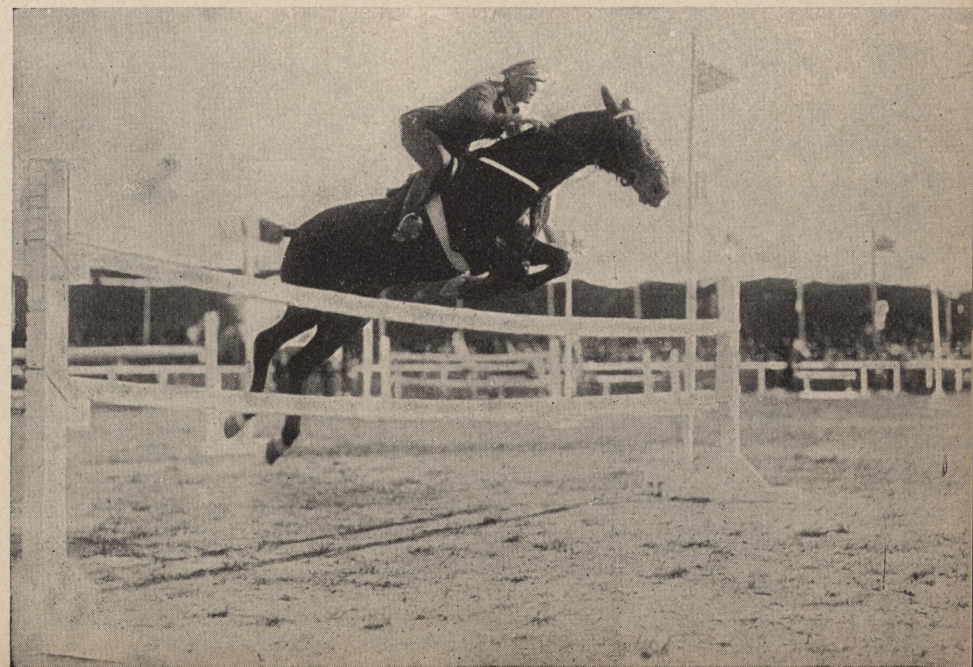
Sport wyścigowy ma w Europie dawne tradycje. Narodził się w oczywiście racjonalnej tresury konia, w Anglii, jako wyższy sprawdzian wartości racjonalnej hodowli konia. Wyścig, od najprostszego biegu do mety, komplikował się z biegiem czasu dzięki wprowadzeniu przeszkód. W ciągu wieków ustalały się szablony rozmaitych typów wyścigowych, nie przestając się z Anglii na kontynent.

Dopiero w pierwszej połowie zeszłego stulecia wprowadziły tę innowację Niemcy, po nich zaś Francja, Stany Zjednoczone i t. d. W Polsce, znajdującej się w zaborze rosyjskim, pojawiły się naogół dość późno, bo pod koniec XIX-go stulecia.

Towarzystwa Zachęty do Hodowli Koni miały na celu przeciwdziałanie zanikowi zainteresowania dla sportu konnego i rozwój polskiego konia. Tendencje rozwoju społecznego stały jednak na przeszkodzie. Upadek dobrobytu ziemiaństwa był jedną z najważniejszych przyczyn. Któż miał chować, tresować i korzystać z konia?

Odrodzenie armii polskiej przyniosło radykalne zmiany na tem polu. Świetne tradycje polskiej kawalerji odżyły na nowo w ostatniej wojnie. Rola konia była w niej przecież ogromna. Kawalerja, skazana na zagładę przez teoretyków, zdała wspaniały egzamin sprawności bojowej.

Warto tu przypomnieć walki z konnicą Budiennego. Przekonano się podówczas, jak groźną bronią jest kawalerja i ile jeszcze ma i będzie miała do powiedzenia.



Równolegle więc z instytucją wyścigów konnych, które zamieniły się całkowicie w wielkie przedsiębiorstwo dochodowe i hazardowe, narodził się na nowo sport wyścigowy w kawalerji polskiej.

Wyniki nie dały długo czekać na siebie. Polskie ekipy konne zaczęły się wysuwać na czoło światowej elity jeździeckiej. Niejeden raz flaga polska wznosiła się na znak zwycięstwa na masztach zawodów międzynarodowych, w walkach o Puchar Narodów.

Nazwiska zwycięskich jeźdźców polskich stały się popularne w Polsce i na świecie. Mjr. Królikiewicz, por. Szosland i tylu innych zwycięzców zdobyło sobie sławę na torach Europy i Ameryki.

Niezawsze jednak prawdziwe mistrzostwo polskiego jeźdźcy świeciło należny triumf. Nie posiadaliśmy i nie posiadamy materiału końskiego odpowiedniej jakości. Po latach triumfów przyszły lata chude, lata kryzysu.

Już kilka razy miała stolica możliwość podziwiania jeźdźców światowej klasy na międzynarodowych zawodach konnych na torze łazienkowskim i nieraz widziało się ekipę polską o krok od zwycięstwa. Zawodziły konie.

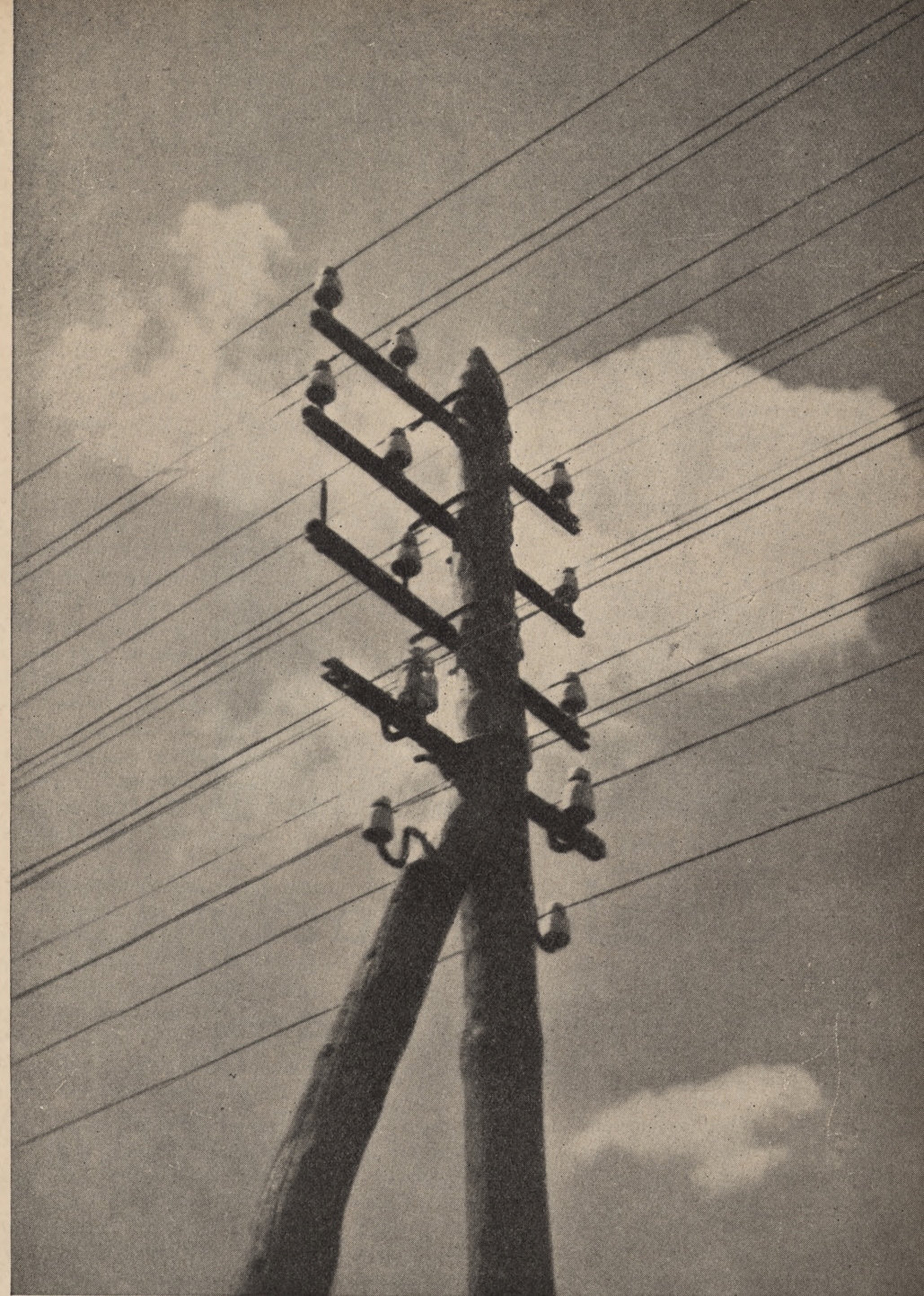
Okres poprawy nadejść może jedynie przez zainteresowanie sportem konnym, prawdziwym sportem najszerzych rzesz. Trzeba je zdobyć dla jazdy konnej nie przez machinacje bokmacherskie, lecz przez jaknajczęstsze demonstrowanie piękna i pożytku jazdy konnej.

Uprzystępnienie nauki jazdy konnej jest niemniej ważnym punktem. Jak wszelkie rodzaje sportów, nie może być jazda konna sportem dla wybranych. Wiele talentów drzemie w masie młodzieży, której trudno jest dorwać się wogóle do konia.

Może wtedy, przy równoczesnem stałem poprawianiu jakości konia w Polsce, nastąpi nowy okres rozkwitu, i trofea zwycięstw, zwiezione z różnych stron świata do kraju, pozostaną w nim na stałe.

A może również, jak ongi w dawnej Polsce, zda polski koń i jeździec swój prawdziwy egzamin w potrzebie, w zgiełku wojennym, gdzie już nie piękno, lecz celowość i użyteczność będą główną odgrywać rolę.

Tak czy inaczej, nie brak argumentów na rzecz odmechanizowania naszego życia na tym chociażby odcinku. Na nazwanie H. P. na nowo pięknym polskim koniem. (B. A.)



Przy drodze



Ocalałe karty z dziejów ziemi

Przed milionami milionów lat, gdy ziemia, przepełniona rozpierającymi ją siłami, pulsująca gorącym rytmem, wstępowała w okres swej młodości — Twórcze Siły — przygotowujące ją na siedzibę przyszłej ludzkości, urządziły ją, przyozdabiały i wyposażały w pierwsze istoty, żyjące z wielkim rozmachem.

W tej epoce katastrof i kataklizmów powstawały niebotyczne góry, wydzwigane gigantycznymi, ognistymi siłami z wnętrza ziemi, rozlewały się nie-

zmierzone obszary wód, paprocie — jak wielkie drzewa, ryby — jak ptaki, ptaki — jak czworonogi, a czworonogi — jak góry ciała i kości — wszystko było na miarę nieokiełznanych sił. Sił tych i fantazyj nie regulowało poczucie piękna i harmonji, toteż pierwsze twory były tak okropne, niezdarne, potworne, że dzisiaj jedynie chorobliwym stanem zamroczona fantazja ludzka może sobie coś podobnego wyobrazić.

Mijały miliony milionów lat. Mło-

dzieńcze siły stygły w miarę osiągania przez ziemię wieku dojrzałego; stygła energia, kurczyła się i sama ziemia i wszystko co żyło na niej. Dzisiejszy świat żyjący jest jedynie miniaturową kopią tych pra-pra-rodziców, którzy żyli w zamierzchłych epokach. Relikwie tych czasów przechowuje ziemia tu i owdzie w swych skrytkach — niedostępnym wnętrzu, lodowniach — lodowcach sprzed milionów lat.

W nielicznych jedynie zakątkach naszego globu przechowują się dotąd jeszcze żywi epigoni pierwszych twórców — prymitywów. Do takich zakątków należy m. in. pustynna, bezludna grupa wysp, na samym równiku, na Oceanie Spokojnym, o kilkaset zaledwie mil morskich od brzegów Ameryki Południowej. Są to wyspy Galapagos — z hiszpańskiego: Żółwiowe. Góryste i skaliste, ostre, stromymi zboczami spadają w otaczające je morze. Nie mają deszczów, prócz zwrotnikowych burz huraganowych; bezdrzewne, pokryte jedynie niską, splątą roślinnością dziczych traw i krzewów poprzecinane głębokimi szczelinami w swej, głównie zastygłej lawie składającej się, glebie.

Są one jakby naturalnym rezerwatem Przyrody, w którym przechowuje żywe wzory swej twórczości sprzed milionów lat: olbrzymie żółwie — bezpośrednich potomków przedhistorycznych potworów; ohydne wielkie jaszczury, zwane iguana; oraz dziwaczne rośliny — bez gałęzi i liści, nie dające cienia i ukrycia, podobne do olbrzymich kandelabrow — kilkumetrowe kaktusy.

Już w siedemnastym stuleciu — jak widać z opisów żeglarza Dampiera z 1697 roku — pierwsi podróżnicy, którzy wstąpili na skalistą ziemię wysp Galapagos, stawali w zdumieniu na widok gospodarzy tej krainy — gigantycznych żółwi, mogących unieść na swym grzbiecie człowieka, lub — rojących się stad tysięcy gadów dwumetrowej długości, tak licznie pokrywających nagie wybrzeża, że literalnie „nie było gdzie nogi postawić lub rozłożyć namiotu“.

Genealogia olbrzymich żółwi wysp Galapagos sięga bardzo daleko wstecz w dzieje ziemi. Protoplaści ich bowiem żyli już w epoce pierwszych ssaków na ziemi — w okresie Cenozoicznym, a panowali wszechwładnie w Aliocenie i Pliocenie, na całych obszarach dzisiejszej Ameryki Północnej. Kopalne szczątki tych zwierząt wskazują, że dochodziły one wzrostu ponad 2½ metra. Ich bliźni i dalsi kuzyni zamieszkiwali również okolice Madagaskaru, wyspy Maskareńskie, Szeyszellach i inne — lecz już przed paru wiekami zostali zupełnie wytrzebieni dla zaspokojenia nigdy nie nasyconych i nie gardzących niczem żołądków ludzkich.

Twory te, jako prymitywy zdolności artystycznych Przyrody, wyglądem swym nie mogą żadną miarą zachwycić nikogo. Wielkie, pokryte niesłychanie grubą skorupą, koloru szarobrunatnego, z nieco jaśniejszym, żółtawym zabarwieniem podgardla i dolnej szczęki, ciężkie — dochodzące wagi 265 kg — poruszają się na swych niezgrabnych łapach niesłychanie powoli — około 300 metrów na godzinę, tak, że przestrzeń 12 km przebywają w ciągu 2—3 dni, z przystankami na spożycie posiłku. Nie spiesząc się ku celom swych



wędrówek — ulubionym krzewom, kaktusom, mchom, którymi się karmią, lub ku okazyjnym, błotnistym kałużom, w których lubią wylegiwać się — nie śpiesząc się również ku końcowi swego życia w myśl zasady: „kto wolno jedzie dalej zajędzie” — żyją zwykle nie mniej niż półtora stulecia. Wielki okaz, posiadany przez Rotszylda, osiągnął poważny wiek — około 300 lat spokojnego, flegmatycznego, żółwiego życia.

Systematycznymi wycieczkami do źródeł wody przebijają liczne tunele w zbitym, kolącym gęstym krzewów, polerując swymi skorupami skalistą glebę i — dają mimowoli broń w ręce swym najzaciętszym wrogom-ludziom: tunele ułatwiają odnajdowanie żółwi, których delikatny tłuszcz, a zwłaszcza wątroba, stanowią prawdziwy przysmak.

Ludziom sekundują gorliwie, przywiezione kiedyś przez nich, a potem zdziczałe — psy i szczury.

W chwilach radosnych godów weselnych, samce popisują się swymi zdolnościami wokalnymi i wydają ochryple, ryczące dźwięki, które słychać o kilkaset metrów. Wbrew przyjętym ogólnie pojęciom o płci pięknej — nietylko nie odpowiada ona na te serenady, lecz wogóle — nie wydaje nigdy żadnego głosu. Odwdzięcza się konkurentom w inny sposób — ofiaruje im jajeczka, zniesione przez siebie; piękne, okrągłe, rozmiarami przewyższające kurze, a tak solidnego wyrobu, że zniesione np. w marcu—kwietniu — jeszcze w październiku są najzupełniej świeże!

Zaprzyjaźnionymi, a przynajmniej

neutralnymi, współtowarzyszami żółwi są inni mieszkańcy tych wysp — starożytne jaszczury — iguany. Imponują ilością, gdyż zaludniają osiem wysp milionami swych przedstawicieli; oraz — brzydota, z którą w parze mogą chodzić co najwyżej znane z „malowniczości” smoki chińskie. Taką urodą odznaczają się zwłaszcza iguany t. zw. morskie — żywe podobizny chimery z katedry Notre Dame w Paryżu.

Ich czarno-brunatna skóra, przystrojona się w okresie godów metalicznie-zielono błyszczącymi centkami. Odznaczają się okazałą długością — około dwóch metrów, jednak w przeciwieństwie do swego wrogięgo wyglądu i wielkich a ostrych pazurów są niezmiernie łagodne, nigdy nie kłapią i wbrew swej nazwie ogromnie nie lubią kąpiele, głębokiego morza i pływania. — Może dlatego, że wody tych wysp roją się od rekinów.

Iguany lądowe o mniej przykrym wyglądzie są złośliwe, napastliwe i drapieżne — schwytane za ogon natychmiast starają się wpić w rękę swe długie, ostre zęby, błyskając przytem groźnie czerwono-różowymi oczami, z czarnymi źrenicami.

Jednak ani łagodność, ani drapieżność — nie zdoła obronić ich przed zębami człowieka. Już w wieku XIX żeglarze znajdowali, że obrzydliwe nazewnątrz iguany są bardzo przyjemne w smaku. Nie mogąc więc walczyć z człowiekiem siłą — walczą ilością. Rozmnażają się w miliony i jak dotąd nie myślą ustępować ludziom panowania nad rodzinnymi wyspami.

Inż. Z. Chelmoński



Z 1001 anegdot

o Akademji Nieśmiertelnych

Wiadomo powszechnie, że członkowie Akademji Francuskiej dość często bywają ludźmi miernych zdolności i trafiają tam raczej przez przypadek, niż dla istotnych zasług.

Pewnego razu jeden z członków Akademji, *Boussenard*, zajmawszy przez pomyłkę fotel *Turetiera*, z którym był w nieustannej wojnie, oświadczył ze złośliwym uśmiechem:

— Z tego miejsca mimowolnie będę musiał prawić głupstwa.

Trzeba trafu, że właśnie na te słowa nadszedł *Turetiera*.

— Śmiało, śmiało, kolego! Zaczęłeś pan wybornie, jakbyś nigdy nic innego nie robił! — zawołał *Turetiera*.

*

Znakomity pisarz francuski. *Guizot*, powiedział kiedyś o pewnym jęgomosciu, który starał się o fotel w Akademji:

— Będę za nim głosował. Nadaje się do Akademji. Po pierwsze: dobrze wygląda. Po drugie: jest bardzo grzeczny. Po trzecie: ma order. Po czwarte: nie posiada własnego zdania. Wprawdzie pisuje... no, ale nikt nie jest doskonały.

*

Starając się o wybór do Akademji *Baudelaire*, złożył wizytę pokolei wszystkim członkom Akademji. Przeważnie przyjmowano go zimno. Gdy zjawił się u *Villemaina*, ten, usłyszawszy o kandydaturze, wyraźnie zdziwił się i wręcz oświadczył, że nie czytał żadnego utworu *Baudelaire'a*. Poeta widząc, że i tu nic nie wskóra, rzekł:

— Zdaje mi się, że pan jest cierpiący, panie *Villemain*. Pozwoli więc pan, że się pożegnaj, gdyż i ja też czuję się niezdrow.

— Pan taki młody i niezdrow? — zdziwił się gospodarz.

— Cierpię na reumatyzm.

— Na reumatyzm? — zawołał *Villemain*. — Niechże pan się jeszcze zatrzyma. W takim razie pańska kandydatura bardzo poważnie może być wzięta pod uwagę...

*

Zola przez czas dłuższy napróżno zabiegał o dostanie się do Akademji. Po jednej z porażek powiedział do *Heredia*:

— A jednak stworzyłem dzieło!

— Tak — odrzekł *Heredia*. — Ale żeby dostać się do Akademji trzeba wznieść pałac, a pan zbudował tylko dom czynszowy.

*

Znana poetka francuska, Luiza Colette, pozostająca w zażyłych stosunkach z kilkoma członkami Akademii Francuskiej, wyraziła chęć ubiegania się o doroczną nagrodę literacką Akademii.

Przyrzeczono jej poparcie, polecając złożyć w określonym terminie napisany przez siebie utwór poetycki na ustalony temat. Tak się jednak złożyło, że poetka, pochłonięta przeróżnymi sprawami, zresztą tylko pośrednio związanymi z literaturą, zupełnie zapomniała o wyznaczonym na przedstawienie utworu terminie, i spostrzegła się dopiero w ostatnim dniu.

Na szczęście tego wieczoru miała wśród zgromadzonych u siebie gości znakomitego pisarza Flauberta i jego przyjaciela, zdolnego poetę. Zabrała ich więc do biblioteki i tam oświadczyła:

— Moi drodzy, w ciągu dwóch godzin muszę mieć gotowy utwór, aby go jeszcze dziś przedstawić jury Akademii. Nie wypuszczę was stąd, dopóki mi go nie napisiecie. Na pocieszenie przyślę wam tu trunki i papierosy.

Po jej wyjściu pisarze wdali się w ożywioną rozmowę o sztuce, czas leciał i gdy się spostrzegli, pozostało go już niewiele. O zaimprovizowaniu wiersza nie było już mowy.

— Mam na to radę — powiedział Flaubert. — Tematem utworu ma być nieśmiertelność? Zaraz będziemy mieli potrzebny utwór.

Podszedł do półki z książkami, wziął tom utworów Lamartine'a i poddyktował przyjacielowi wiersz o sławie, zalecając, by bruljon był jaknajbardziej pokreślony.

Gdy zjawiła się pani domu wręczyli jej, rzekomo w pełni poetyckiego natchnienia stworzony, wiersz.

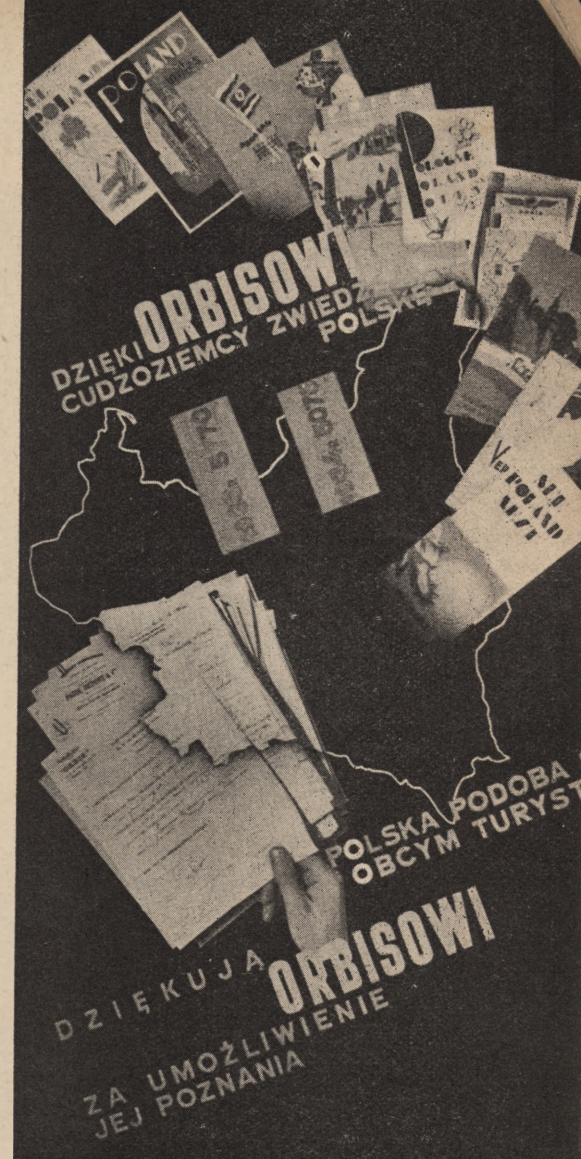
— No, niezbyt wysililiście się — powiedziała Colette po przeczytaniu wiersza — ale dla Akademii i to wystarczy.

Rzeczywiście, następnego dnia Akademia Francuska przyznała za ten wiersz nagrodę i utwór Lamartine'a ogłoszony został drukiem pod nazwiskiem Colette'y. Żaden z członków jury nie rozpoznał, dość zresztą znanego, wiersza Lamartine'a.

Z Orbisem podróżujecie tanie i wygodnie

Bilety po cenach taryfowych
Bilety na miejsca sypialne w pociągach
Karty okrętowe i lotnicze
Czeki podróżnicze
Dostawa bagażu

100 placówek Polskiego Biura
Podróży Orbis w kraju i zagranicą



Podróżuj samolotem

NIEDOŚCIĄGNIONY WYBÓR KAPELUSZY
Młodkowskiego
PL. 3 KRZYŻY 18.



PRZYGODA W PODRÓŻY

Autor „Czarodziejskiej góry“, Tomasz Mann, udając się w podróż koleją szczęśliwie znalazł miejsce w przepełnionym pociągu i nie tylko sam usiadł, lecz jeszcze na sąsiednim, wolnym miejscu ulokował swoją walizkę.

Wtem wchodzi do przedziału inny podróżny, również poszukujący miejsca, znacząco patrząc na walizkę pisarza, zajmującą miejsce na siedzeniu.

— Właścicielem tej walizy — rzekł Mann, który nie chciał zadać sobie trudu ulokowania walizy na półce — jest mój przyjaciel, który lada chwila nadejdzie.

Po pewnym czasie pociąg rusza. Czatujący na miejsce podróżny chwytając walizę Manna i, wyrzucając ją przez okno, mówi:

— Pański przyjaciel prawdopodobnie nie zdążył wsiąść do pociągu, byłby więc zmartwiony, gdyby walizka pojechała bez niego.



Aleksy Tołstoj



Narzeczone

Stara ciotka Barbara Iwanowna postanowiła, że na Nataszę, od chwili kiedy została narzeczoną, trzeba bardziej uważać. Naco trzeba było uważać, tego ciotka jasno nie wiedziała, w rozmowach jednak coraz częściej zjawiały się lekarskie rady i wskazówki praktyczne. Z pomocą przyszli ciotce rodzice narzeczonego, starzy Stabiesowowie, odnajmujący u Tomilinów letnisko w lesie.

Przeczytali broszurkę o komarach malarycznych i przybiegli o świcie, już z ganku wołając:

— Na miłość boską, gdzie u was są komary?

Mikołaj Afikanowicz, stanąwszy w salonie na krześle liczył komary tak długo, aż dostał zawrotu głowy. Wówczas Barbara Iwanowna sporządziła sobie długi kij, owinięty na końcu ręcznikiem i tępiła nim wszędzie szkodliwe owady.

Okno w sypialni Nataszy zaopatrzono w siatkę, a raz rozpylono nawet specjalną ciecz o paskudnym zapachu. Sprowadzono dzieło p. t. „Higjena młodej kobiety“. Z książki wynikło, że: nie wolno dźwigać ciężarów, schylać się nisko, jeść kwaszonej kapusty, pić w upał zimnego kwasu i t. d., i t. d.

Kąpać się w rzece pozwalano Nataszy pięć minut (według książki). Okazało się, że w południe światło słoneczne zawiera nadmiar promieni ultrafioletowych, oddziaływujących na

czynności rozmaitych narządów. O zachodzie słońca można nabawić się pokrzywki. Rosę, cudowną poranną rosę, po której Natasza tak lubiła biegać na bosaka, uznano za bezwzględnie szkodliwą.

Gdy zamyśliwszy się nad niedopitą herbatą, dziewczyna opierała się o murowaną ścianę tarasu, Barbara Iwanowna mówiła z pośpiechem:

— Nie opieraj się, proszę. Nabawisz się reumatyzmu. Zaczekaj, przyjedzie Mikołaj, wtedy będziesz siedziała jak zechcesz.

Pozatem ciotka odgadywała ze zdumiewającą przenikliwością tajemnice organizmu Nataszy. Podczas gdy starzy Stabiesowowie opierali się wyłącznie na książkach, ciotka szukała źródeł wszystkiego w dziedziczności. Żołądek Nataszy, na przykład, okazał się mocny, jak u wszystkich Tomilinów, nerki wdały się w wujów, wątroba zaś z wszystkimi jej kaprysami była przez pewien czas nieodgadnioną zagadką. Pewnego razu, późnym wieczorem, ciotka weszła z świecą w rękę do sypialni Nataszy, usiadła na łóżku i westchnąwszy głęboko, rzekła:

— Był huzar Naszczokin, twój wuj z trzeciej linji. Człowiek niezwyklej tuszy. Nerwowo — czysty proch!... Oto skąd twoja porywcość, Natasza.

Mówiąc to, ciotka rzuciła na dziewczynę surowe spojrzenie spoza szkieł.

— Ależ, cioteczko! Ja porywca?

— No, pozwól mnie to osądzić. Odrzuć jutro, moje dziecko, posyłam do miasta po skrzynkę Borżomu. Nie mogę oddać cię z taką wątroba w ręce narzeczonego.

— Ciotko! Jeżeli jeszcze raz usłyszysz słowo „narzeczonego“, zmoczę głowę i całą noc prześpię się w oknie.

— Tfu, tfu, rozindyczyła się szalona pałka — odrzekła ciotka, kończąc rozmowę.

Natasza prosiła, żeby nie mówić „narzeczonego“, „państwo młodzi“, „weselisko“. Prosiła nawet o zbyt częste niewymawianie imienia Mikołaja Mikołajewicza, bo sama myślała o nim bezustanku z napięciem, czasem lękiem, częściej z tliwością. Był bliski, był w samym jej sercu i nie miała najmniejszej ochoty na to, by i jego obdarzono wątroba.

Próbowała także protestować przeciw „Higienie młodej kobiety“, lecz ciotka okazała się pod tym względem twarda jak kamień.

I oto potrochu dziewczyna zaczęła odczuwać samą siebie jak jakąś filigranową istotkę: bała się upaść, przestała śmiać się głośno, nie to co dawniej, gdy była — niczyja.

Panowały wielkie upały, zbliżał się okres pełni księżycowej. Natasza leżała w bujaku, gęste krzewy akacji zasłaniały ją od słońca. Przypatrując się swej ręce, myślała sennie:

— „Jaka to dziwna rzecz ręka. Dlaczego ma pięć palców, nie sześć i dlaczego tak właśnie jest ładnie?“

I nagle ujrzała całą siebie, jakby z jakiejś odległości — szczupłą, w białej sukni, długonogą, błękitnooką, delikatniutką. Nad głową Nataszy trzasnęła cicho gałązka akacji i na kolana jej spadł strączek; zielony w czerwone żyłki. Wówczas wydało się dziewczynie, że żyje w jakimś wyniosłym kryształowym pałacu, czysta i bardzo smutna przez tę niezwykłą czystość. A przecież dopiero niedawno grywała w tenisa, upajała się czytaniem współczesnych powieści i pogardliwie nie wierzyła w miłość. Cóż to było właściwie? Nogi i ręce zostały te same i głowa nawet i serce, a sama Natasza — jest inna. I dlaczego zasmuca ją nawet takie głupstwo, jak spadek na kolana strączek?

Wspomnienia otoczyły Nataszę. Przechadzała się z Mikołajem Mikołajewiczem za parkiem koło uli, po polu grykowem, kwitnącem żółtymi kiśćmi. Był upał, pachniało miodem, w powietrzu krążyły pszczoły. Zbliżając się ku polu, Mikołaj wymachiwał laską, palił, plótł bzdury. Spoglądając na niego z ukosa, Natasza

myślała: „Ładny, bo ładny, ale zbyt pewny siebie“. Gdy jednak weszli w grykę, osypującą ich po kolana żółtym pyłkiem i Natasza schyliła się, by narwać kwiatów, a Mikołaj rzuciwszy papierosa zamyślił się — od tej chwili omotało ich coś miodną wonią kwiatów i wilgotnej po deszczu ziemi, aż dziwne się wydało, że mogli przed chwilą rozmawiać tak prosto. Uczucie zawstydzenia i lekkiego zawrotu głowy nie znikło nawet po powrocie do domu, a następnego dnia stało się jeszcze mocniejsze.

Potem Natasza i Mikołaj jakby zdziecheli. Przy spotkaniach unikali swych spojrzeń, mówili rzeczy mało zrozumiałe. Wyszedszy na przechadzkę, włóczyli się po miedzach, ścierniskach, wśród stogów, po leśnych wądołach i nie dostrzegali, kiedy zapadał wieczór. Nogi nie bolały po tych wędrówkach lecz wszystko — serce, rozum, wola, uczucia czekały napięte w milczeniu.

Wreszcie Natasza i Mikołaj spędzili bezsenne noc. Natasza przewracała się w łóżku z boku na bok, aż przerażona ciotka zmusiła ją do wypicia kropli Hofmana, Mikołaj zaś przebiegł



drogę ze wsi do Spaskiego i spowrotem — wszystkiego 16 wiorst. O czym myśleli oboje tej nocy — niewiedomo, ale już o 8-ej rano zjawili się na korcie z takimi zmęczonymi twarzami i błędnymi oczami, że strach. Mikołaj wziął piłkę, obejrzał ją uważnie, rzucił niewiedomo dlaczego do stawu i rzekł:

— Natasza... ot co...

Pod Nataszą ugięły się kolana. Usiadła na ławce, ledwo dosłyszalnym głosem zapytała: — Co?

Obojgu głośno, nieposłusznie biły serca. W zielonym cieniu lip nie było czem oddychać. Zagryzając wargi, plecami prawie zwrócony do dziewczyny, Mikołaj wyrzekł wreszcie: — Ja kocham panią, Natasza.

Nie odpowiedziała — nie mogła. W dusznym cieniu poruszały się jak zajęczki, plamki świetlne. Potem tuż przy jej twarzy zjawily się oczy także zielone, cudowne, swoje. Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała nawpół rozwartymi ustami.

Natasza i Mikołaj postanowili nie wspominać rodzinie ani słówkiem o tem, co się stało. Ale już podczas obiadu i Stabiesowowie i Barbara Iwanowna wiedzieli wszystko. I jakby się zmówili, zaczęli się wtrącać nie do swoich spraw. To zadawali nietaktowne pytania, to znów znacząco milkli, a gdy Natasza wychodziła, zbijali się w gromadkę i rozprawiali szeptem o Nataszy piękności, o Nataszy cności, o tem jak Mikołaj będzie z nią szczęśliwy.

Tymczasem Nataszy i Mikołajowi jakby obrzydły włóczęgi i całymi dniami przesiadywali na ławce w lipowej alei, to znów w brzoźowej nad stawem. I mówili wciąż o jednym: jakie to cudowne i niepojęte, że się spotkali i pokochali, że jeszcze nikt na świecie nie kochał tak jak oni.

Codzień o świcie Mikołaj szedł kąpać się do parującego mgłami stawu, rozbierał się szybko i pływał w lodowatej wodzie, parskając i przyglądając się olbrzymim, nadbrzeżnym osinom.

O tej porze wydawały się dwa razy wyższe niż zwykle. Ptaki pogwizdywały, wdali ryczało stado. We mgłę, za wierchołkami osin roz-



błyskiwały blade-koralowe smugi zorzy. Potem Mikołaj siadał na ławce pod oknem Nataszy. Gdy słońce przedostawało się zza wierchołka klonu w głąb pokoju, Natasza wstawiała. W białym szlafroczyku, z włochatym ręcznikiem wychodziła na ścieżkę i odwracając się od Mikołaja prosiła, żeby nie patrzył na nią, bo jest jeszcze zasnana.

Tak zaczynał się dzień — niby sen, niby marzenie, uroczysto i fantastycznie. Nagle Mikołaj otrzymał z Moskwy telegram: w domu, budowanym pod jego kierownictwem zarysował się mur. Musiał natychmiast wyjechać. I właśnie wtedy rodzice Mikołaja i Barbara Iwanowna zaczęli opiekować się Nataszą. Mikołaj pisywał codziennie. Listy jego w dużych szarych kopertach zaczynały się mniej więcej tak: „Moja najśladza, najmiłsza, najśliczniejsza, najcudniejsza, jedyna...“ W tym samym stylu utrzymywało się zakończenie.

Tam, w Moskwie miał Mikołaj zamiast Nataszy do czynienia z cegłą, wapnem, żelaznymi belkami, łajdakiem dostawcą. Moskwa okazała się pełna kurzu, zaduchu, hałasu. Mikołaj rwał się do Tomilina, a Natasza pod opieką trojga starych żyła jakby w nawpół fantastycznym świecie.

Minęły dwa tygodnie i dziewczyna poczuła niezadowolenie... szło skądś, jak lekki przeciąg przez ledwo dostrzegalną szparkę...

„Krzążą się jak koło kureczaka“ — myślała, układając nogi na bujaku. — Tęczę, głaścza, podają: „tylko proszę języka nie połknąć!“ Dziwne, że nie umarłam jeszcze z nudów. — Wzięła do ust strączek i ugryzła go. Był kwaśny. Potem na ścieżce zjawił się Mikołaj Afrikanowicz, niziutki, ostrzyżony na jeża staruszek, z pasem na brzuchu. Głódząc brodę i mrużąc jedno oko, Mikołaj Afrikanowicz zawołał:

— A ja mam coś dla kogoś! — „Coś“ było oczywiście listem od Mikołaja, ale czy doprawdy do oddania listu konieczna była cała ta komedia z mruganiem? Natasza wzięła list i posłała nad staw. Tam otworzyła kopertę i zaczęła czytać:

„Miła, słodka, cudna... Ciocia Basia telegrafowała, że wciąż się smucisz. Co ci jest? Jestem w rozpacz. Strzeż się wilgoci. Nie wychodź po zachodzie słońca. Nie chcę, żebyś przeziębila moje nóżki. Obawiam się, że masz skłonność do malarji. Pamiętaj — cała jesteś moja. Pilnuj się dla mnie, dla naszej miłości!“

I aż do ostatniego wiersza ani słówka o tem, co najważniejsze i najprostsze — kiedy przyjedzie. — Teraz rozumiem — rzekła Natasza na głos. — Obchodźcie się ze mną jak właściciel. Nie jestem waszą małpką ani kanarkiem. To moje nogi, nie wasze. Nie mam obowiązku być zdrowa, ani piękna, ani dobra. — Rozejrzała się dookoła, zdjęła pończochy, podwinęła suknię i siadłszy na brzegu, spuściła nogi do wody. Zrobiło jej się bardzo smutno i żał samej siebie.

Staw, bardzo szeroki w tem miejscu, dnia tego był barwy jasnoblękitnej. W bezdennej jego toni sunęły białe obłoki. W cieniu brzegu pływały uschłe listki i odbijały sosenki o gałęziach, rozpostartych naksztalt krzyża. Na drugim brzegu białł piasek. Nie było na całym świecie smutniejszej istoty niż Natasza nad pustym, sennym stawem.

Po godzinie weszła na taras, usiadła przy stole w wypłatanym fotelu i rzekła surowo do pokojówki:

— Duniu, przynieś mi z piwnicy kwasu, ale jaknajzimniejszego. — Poczem spuściwszy oczy, czekała.

Barbara Iwanowna i Marja Mitrofanowna zamieniły szybko spojrzenia.

— Ciotko, siedziałam nad wodą na gołej ziemi — rzekła Natasza.

Okulary Mikołaja Afrikanowicza wpadły do kwaśnego mleka.

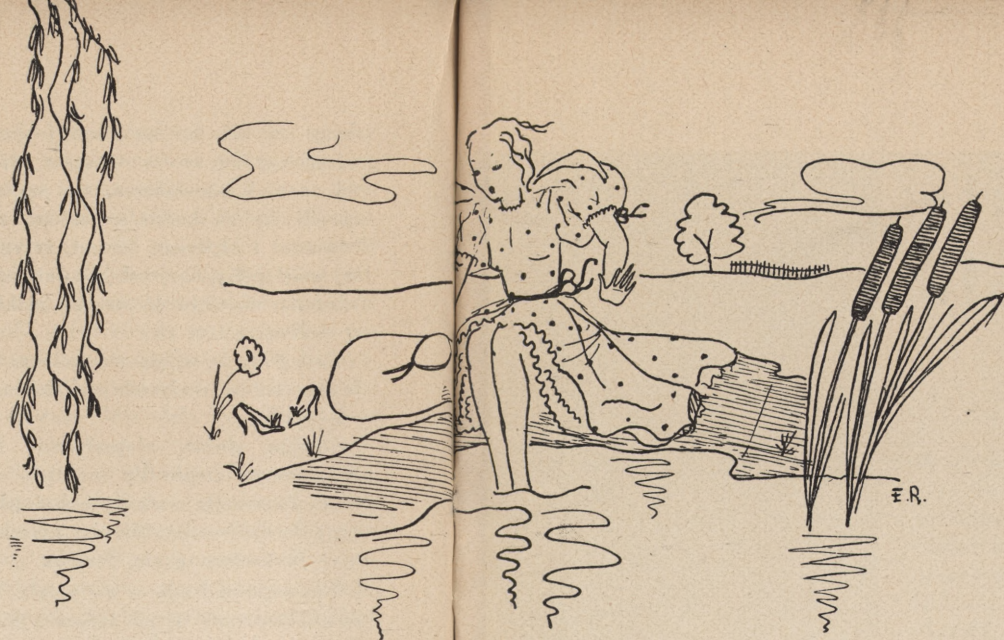
— Gryzł mnie komar. Tylne nóżki miał dłuższe od przednich. Z pewnością malaryczny.

Starzy wciąż milczeli. Tylko ciotka, pchnąwszy niechcący łokciem filiżankę, przeraziła się.

— Głowa mnie boli. Umyślnie przeziębiam nogi. I nerki mnie bolą i wątroba. — Nataszy zadrżał podbródek. Odsunęła krzesło, zrzuciła serwetkę z kolan i poszła do swego pokoju. Położywszy się na białym łóżku, przysięgła, że nie będzie się nigdy pudrować ani ondulować włosów, że nigdy nikogo nie pokocha, a wreszcie rozpłakała się.

Mikołaj Afrikanowicz obstawał przy lekarzu, Marja Mitrofanowna zapewniała wszystkich, że stan zdrowia Nataszy „ma przebieg normalny“, zaś Barbara Iwanowna natychmiast zatelegrafowała do Moskwy: „Z narzeczoną źle, zostaw wszystko, przyjeżdżaj“.

Pod wieczór znudziły Nataszę leżenie i płacz.



Włosy jej się potargały, poduszka i suknia zmięły. W głowie miała pustkę. Podeszła do okna. Nad parkiem rozbłyskiwały gwiazdy, blade jeszcze, zielonawe. Zza czarnych osin wychylał się księżyc, niby nasycona ogniem szklana kula. Za chwilę światło jego posączy się po stawie, niewidocznym teraz zza gałęzi drzew. I park, i łąki, upstrzone niby brodawkami, stogami skoszonego siana, wydały się Nataszy dzikie jak pustynia. Zapragnęła, żeby i w jej sercu nie zostało ani jednego ciepłego kącika. Narzuciwszy na ramiona kaszmirowy szal, zeszła nadół do ciotki, która przygotowywała nawar z malin na maszynie spirytusowej w jadalni. Barbara Iwanowna spojrzała przestraszona na dziewczynę i mieszając zawartość rondelka, rzekła drżącym głosem:

— Nataljo, proszę cię bardzo, żebyś przed snem zażyła malin. — Łyżeczka zadzwoniła w jej pokrytej piegami ręce.

Natasza stała przy stole, aż po usta otulona w biały szal i wpatrywała się w błękitnawy płomyk maszynki. Było po wszystkim. A niech...

— Ja zamąż nie wyjdę. Proszę to sobie zapamiętać i samej wypić maliny.

Odwróciła się i wyszła na taras, a stamtąd do parku. Księżyc świecił wysoko wśród granatowej pustki. Park jakby skamieniał, tu i owdzie migocący światłem. Wdole nad łopianami unosiła się mgła. Księżycowe światło

przenikało tajemne myśli, szeptało coś o losie zagadkowym, budzącym lęk. Minąwszy park Natasza wyszła na groblę, z której roztaczał się widok na całe pagórkowate pole. Z samego jego krańca, przesłoniwszy już pół widnokręgu, pełzła postrzępioną masą czarna chmura. Ostry jej czub dotknął księżycy i zbladł. W mgnieniu oka poszarzały i spłaszczyły się wszystkie cienie, zrobiło się ciemno jak w nocy. Na policzek Nataszy spadła wielka kropla. Dziewczyna kiwnęła z uporem głową i otuliwszy się mocniej chustką, poszła dalej. Nagle stylu zaszumiał głucho park i wiatr, zginający trawy, rozwał suknię Nataszy. Jeszcze, jeszcze, coraz częściej padały krople deszczu. Srebrne światło przeszło chmurę nawylot, a po chwili zahuczał grzmot tak potężny, jakgdyby runął cały tomiński las. Natasza zaczęła biec. Wiatr omal jej nie przewrócił. Deszcz szumiał już w pobliżu.

Wpadła do domku pasiecznika Nikity. Unosił się w nim zapach wiórów sosnowych i woszczyny. Natasza znalazła poomacku drzwi, prowadzące do mieszkalnej części domku. Na drzwiach wisiała kłódka. Natasza przypomniała sobie, że Nikita jeszcze zrana pojechał do miasta po wirówkę. Tymczasem deszcz utworzył już nieprzerwaną zasłonę za otwartymi naosćcież drzwiami. W świetle częstych błyskawic wyłaniały się z mroku krzywe osiny, części zmaczonego stawu, wierzchołki dwóch

sosen koło tarasu, a wszystko zasnute szarą zasłoną deszczowych strug. Natasza usiadła na stole. Lęk jej minął. Myślała o tem, jak niepokoją się teraz w domu — z pewnością posłano na poszukiwania służbę i parobków. Przeszukano cały park i oranżerję, i pasiekę, i stodołę. Ciotka jest oczywiście przekonana, że Nataszę zabił piorun. Na polanie leży narzeczona w białej sukni z rozrzuconymi bezwładnie ramionami. Błękitne, martwe już oczy, zwrócone ku niebu. Rankiem znajdą ją całą mokrą, zaniosą, położą na otomanie. Przyjdzie Mikołaj, rzuci się na kolana przed ciałem. Biedna Natasza. Biedny Mikołaj. Na marne poszło życie, pierzchnęła miłość. A najbardziej chyba żał ciotki: stara już, tem tylko żyła.

Deszcz padał coraz gwałtowniej. Niepokój i zmartwienie tak zmęczyły Nataszę, że rozrzucając stos wiórów, położyła się na stole. Jeżeli nawet nie zabije jej piorun, to w każdym razie przeziębienie. Przez dach pokapywało. Z wiórów unosił się zapach wilgoci i terpentyny. Natasza czuła się porzucona i skazana. A uczucie to było tak słodkie i miłe, że splakawszy się trochę, nagle spokojnie usnęła.

Gorące światło uderzyło w oczy. Natasza usiadła na wiórach. Przez drzwi widać było trawę, zmierzwioną, matową, zieloną, zroszoną trawę. Z światem przemknęły jaskółki. Stało się coś cudownie radosnego. We włosach pełno wiórów, suknia zmięta. Dziwne. Natasza pobiegła ścieżką ku domowi. W alejach widniały ślady stóp. Okna naosćcież otwarte. Na placu koło tarasu leżał kalosz ciotki. Wbiegłszy po schodkach, Natasza krzyknęła. W oszklonych drzwiach stał Mikołaj bez czapki, z włosami i brodą w nieładzie, w ochlapanym błotem płaszczu. Oczy miał pełne przeżenienia i szczęścia.

— Mikołaju, kochany! Czy kochasz? Kochasz mnie? — pytała Natasza, a usta jej drżały nito od śmiechu, nito od łez.

Odchyliwszy jej głowę, Mikołaj patrzył w przełęczoną, zasną, uroczą twarzyczkę, martwił się okropnie i nie rozumiał. Bo też rzeczywiście — pozatem, że kochają się oboje na śmierć i że niema na świecie rzeczy piękniejszej, niż miłość — nie było w tej sprawie nic do zrozumienia.

Tłum. N. N.

Czynność z punktu widzenia celu



(dialog o latarnictwie)

Góry stały ciche i jasne, słońcem uśmiechnięte, a czasem zasnuwały się mgłami i kryły się długo przed płomieniem spojrzeniem gwiazdy dnia, w miękkich, puszystych oparach, aż wreszcie zrywał się wichur, łamał drzewa i ciskał nimi jak zapalkami, po stokach. Drżały lasy świerkowe przed gniewem potężnego władcy, kamiennymi żłebami z dudniącym łomotem zbiegały głązy, z sykiem wpijały się w piargi. Złym, czarnym śmiechem śmiały się granitowe iglice nad martwymi pustkowiami milczących dolinek.

Zimą mrozy głużyły brzęk drobnych potoków, dusiły je pod zwałami śniegu, skrzacząc się bielą zdołały szczyty, hojnie sypały lodowemi gwiazdami po, w srebrnej ciszy zamarłych, lasach.

Tak było sto lat i lat dwieście temu i lat kilkadziesiąt tysięcy i przedtem jeszcze za czasów mamutów i pierwszego człowieka, gdy Europę skuwały lodowce zimnym, ciężkim pancerzem.

Tak było mniej więcej i w ten dzień pogodny, gdy chłodny wrzesień zajął miejsce jeszcze zimniejszego sierpnia, który pełen był wiatru i deszczu, i ciągnął się długo zanim zechciał ustąpić. A więc cicho było i niezbyt upalnie. Zarysy gór leżały w lekkiej mgłę, nieco przyćmione i zamazane. Obłoki sunęły wolno.

Na skalnej półce, poprzedzonej czarnym urwiskiem, gdzie tylko miejscami połyskiwała na słońcu złoto-zielona trawa, siedziało dwoje ludzi: on był wysoki, barczysty blondyn z niebieskimi oczami, ona szczupła, ciemna, o niezbyt regularnych, wyrazistych rysach, prześwieconych swoistym wdziękiem świadomej, czynnej inteligencji. Zwinięta liną łączyła ich ze sobą, między nimi le-





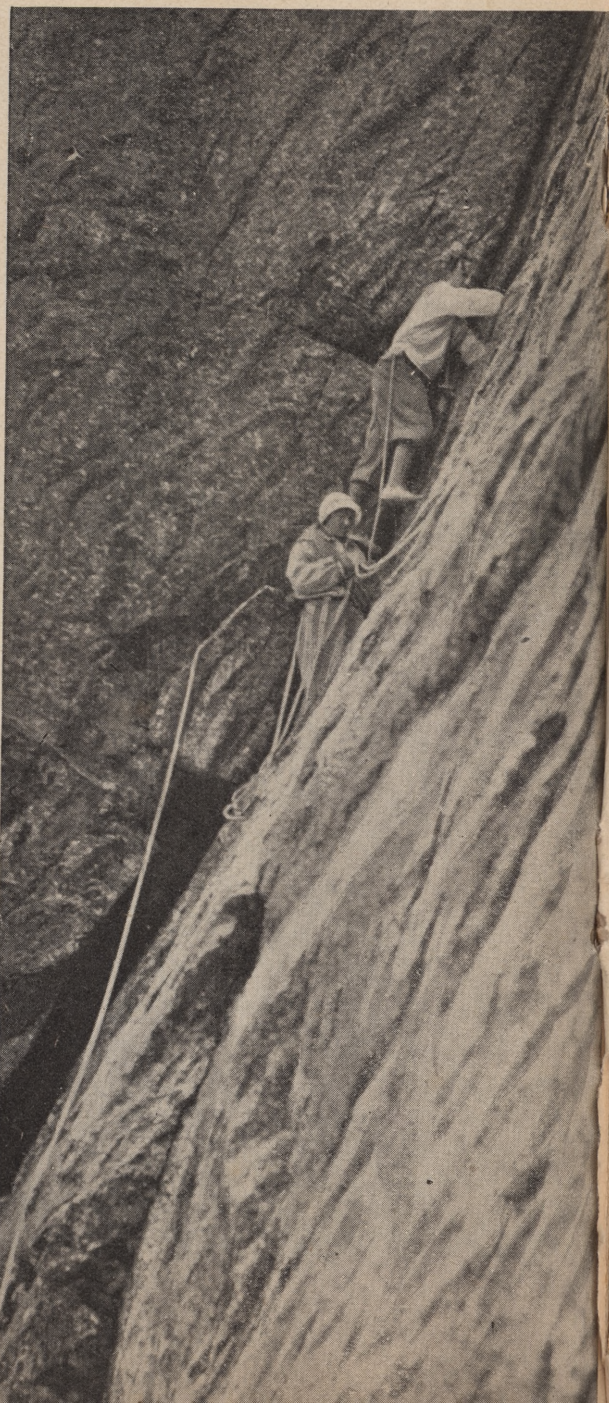
dzenia tego celu jest albo celowa, czyli doń prowadzi, albo niecelowa gdy — nie i w tedy jest nonsensem. Naprzykład, jeżeli naszym celem jest powiększenie dobrobytu murzynów w środkowej Afryce, to bez kwestji — zdobycie tego szczytu niema sensu. Ale skoro celem naszym jest przyjemność, którą nam

zał napół otwarty plecak z szarej celty i czarne pudełko małego aparatu.

Daleko wdole, u ich stóp, ciągnęła się głęboka, zielona dolina, przecięta srebrnym meandrem potoku. Nad nimi — prawie pionowa, kilometrowa ściana, rozdarta na dwoje głęboką, wąską szczeliną, doprowadzała do trawiastego zagłębienia i położej, kamiennej rynny; dalej — kilka połyskliwych, gładkich płyt, jeszcze jedna spadzista turnia i — szczyt.

— Czy nie uważasz, że cała ta wspinaczka jest właściwie dziwnym nonsensem? — powiedziała ona, pochylając się w jego stronę.

— Może, nie wiem, ale mi się nie zdaje, nie wiem, co to jest nonsense — sam w sobie. O nonsense może być mowa tylko wtedy, gdy ma się przed sobą pewien cel i jakaś czynność: czynność z punktu wi-



ono daje, jes
szym stopniu
komuś nie
czuwa

12
16500
REWELACYJNA ZNIŻKA CENY

ZAJMUJĄCA TREŚĆ

BOGATA ILUSTRACJA

DOBRA KSIAŻKA CO MIESIĄC

„TYGODNIK ILLUSTROWANY”

począwszy od dnia 1 października 1935 za cenę

zł. 5 miesięcznie

kwartalnie zł. 14,50 i rocznie zł. 58, daje czytelnikowi co tydzień 20 stronicowe bogato ilustrowane pismo w estetycznej okładce, co miesiąc jako dodatek do prenumeraty nowoczesny magazyn ilustrowany «NAOKOŁO ŚWIATA» i współczesną powieść objętości do 240 stron druku, której cena w handlu księgarskim wynosi zł. 5.

Zł. 4 miesięcznie, Zł. 11.50 kwartalnie, Zł. 46 rocznie kosztuje prenumerata z jednym dodatkiem t. j. Biblioteką Powieściową lub magazynem «Naokoło Świata».

Cena pojedynczego numeru

75 gr.

PRENUMERUJCIE NAJSTARSZĄ

ILUSTRACJĘ POLSKĄ

„TYGODNIK ILLUSTROWANY”

WARSZAWA, ZGODA 12. TEL. 5.22-14. P.K.O. KONTO 143.